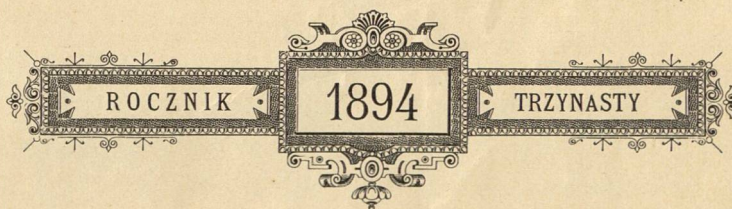


MISSYE KATOLICKIE

CZASOPISMO MIESIĘCZNE ILUSTROWANE.



W KRAKOWIE,

CZCIONKAMI DRUKARNI »CZASU« FR. KLUCZYCKIEGO i SPÓŁKI.

pod zarządem Józefa Łakocińskiego.

KRAKÓW

WYDAWNICTWO MISSYJ KATOLICKICH

ulica Kopernika, Nr. 26.

WARSZAWA

PRZEGLĄD KATOLICKI, KSIĘG. GEBETHNERA i WOLFFA

ulica Krakowskie Przedmieście.

1894.

MISSYJ

KATOLICKIE

WYDAWNICTWA



WYDAWNICTWA

NAKŁADEM WYDAWNICTWA „MISSYJ KATOLICKICH.”



SŁOWO WSTĘPNE.

— o —



hociaż rok ubiegły był skromnym w ważniejsze wypadki na szerokiem polu missyjnym, nie obeszło się jednak jak i lat poprzednich, bez tryumfów i krzyży.

Europa, a z nią cały świat chrześcijański obchodził 50-letni jubileusz biskupstwa Leona XIII. Rodzinna uroczystość nasza znowu przypomniła światu tę jedność — świętość — powszechność apostolskiej wiary — wobec której ustępują antagonizmy narodów, skoro się wszystko skupia jednym uczuciem miłości około Namiestnika Chrystusa Pana na ziemi, nieomylnego nauczyciela prawd i zasad życia chrześcijańskiego.

Jakkolwiek i w Europie wiele jest miejsc w stanie missyjnym lub gorzej jak missyjnym, a więc i o nich możnaby dużo powiedzieć, lecz tyle tu krzyżów i tyle boleści, iż milczeniem raczej wypada nam zasłonić smutny ten obraz.

Od dalekiego wschodu słońca poczyną jaśniej przyświecać jutrzeńka. Azja coraz więcej budzi się do życia i z dniem każdym wzrasta liczba katechumenów — chrześcijan — częstsze stają kościoły, a obok nich zakłady naukowe i wychowawcze. Najważniwszem bezsprzecznie w Azji zdarzeniem było założenie centralnego seminarium dla Indyi. Wyrokiem Stolicy świętej utworzono wyższą szkołę z wykładami uniwersyteckimi na uroczej wyspie Ceylon, gdzie najzdolniejsi z 29 dyecezyj indyjskich alumni, pobierać będą filozoficzne, prawnicze i teologiczne wykształcenie, podobne temu, jakie się otrzymuje na uniwersytecie Gregorykańskim w Rzymie, największym w Europie. W ten sposób Hindusi będą mogli powoli zająć wybitniejsze miejsce w hierarchii kościelnej, na które dotychczas wyłącznie Europejczyków wybierano.

Pomnikowe to dzieło, trudne do przeprowadzenia, w całości wykonywał z polecenia Stolicy świętej, jak wiadomo, nasz rodak, Delegat Papieski w Indyach X. Władysław Michał Zaleski,

w ubiegłym roku konsekrowany w Kalkucie na Arcybiskupa Teb.

Po zaprowadzeniu przed kilku laty hierarchii kościelnej w Indjach wschodnich, Kościół coraz to silniej się organizuje, a dowodem tego nowe synody prowincjonalne, które się tej zimy kolejno odbywają w Bombaju, Agrze, Kalkucie, Madrasie, Pondiszerry, Verapoly i Kolombo — wszystkie pod przewodnictwem JE. X. Arcybiskupa Wł. M. Zaleskiego.

Gdyśmy podawali w roku zeszłym podobne niniejszemu sprawozdanie, dzielny Kardynał Lavigerie jeszcze jako Prymas stał u steru afrykańskiego Kościoła. Niebawem rozeszła się smutna wiadomość, iż ten mąż żelaznego hartu duszy opuścił tę ziemię. Szczęśliwszym był jednak od innych zdobywców wielkich, acz innym orężem i na innym polu. Pozostawia bowiem po sobie cały szereg instytucji, które powołał do życia, a one dalej będą prowadziły dzieło przezeń rozpoczęte. Osierocona prymasowska stolica w Kartaginie dostała się wyrokiem Stolicy św. X. Biskupowi Klemensowi Combes, który wychowany w szkole apostolskich zapasów zmarłego Kardynała, będzie umiał również dobrze — spodziewamy się — wprawną ręką i szerokiem pełnem miłości sercem, przewodniczyć kościołom Afryki.

Podczas gdy w południowej Ameryce duch rewolucji pokutuje jako kara Boża za przestępstwo ludu, popełnione na osobie dawnego cesarza, w północnej Ameryce, w tym kraju wolności i swobody, Kościół bezustannie robi postępy, nowe tworzą się dyecezye, nowe domy zakonne, liczniejsze katolickie szkoły. Nie bez znaczenia były słowa prezydenta Rzeczypospolitej Stanów Zjednoczonych Clewelanda przy otwarciu Chikagoskiej wystawy, że Amerykanie wierzą w Boga. Podczas gdy w niektórych europejskich krajach sceptycyzm opanował wyższe sfery rządzące — takie wyznanie nad sobą władzy wyższej w Niebie w ustach naczelnika wielkiego kraju, pocieszającym jest faktem — oby tylko Amerykanie zawsze umieli oddać Bogu kult taki, jakiego od nas żąda.

Cicha praca misyjonarzy na wyspach Spo-

kojnego oceanu, powoli, lecz zawsze naprzód postępuje. Nie było tam żadnych głośniejszych wypadków, lecz nie mniej są ważne tam prace około pogańskiej, często ludożerczej ludności.

Podobnie jak heroizm jest pobudką do bezgranicznego poświęcenia się misyjonarzy na trudy, cierpienia i śmierć, tak i on staje się powodem hołdu uwielbienia, jaki im Kościół składa, podnosząc z zapomnienia imiona tych mężów i zdobiąc ich skronie aureolą Świętych.

W roku ubiegłym dziesięciu misyjonarzy zaszczyt ten spotkał, pięciu z naszego zakonu: O. Rudolfa Akwawię i towarzyszy umęczonych za wiarę 1583 r. w Indjach na Salsettańskim półwyspie — również pięciu z zakonu Dominikanów: X. Biskupa Sanza z czterema towarzyszami, którzy podobnie zginęli śmiercią męczeńską w latach 1747 i 1748 w Chinach, w prowincyi Fokien.

Oby Bóg dozwolił, aby i nasz męczennik X. Wojciech Męciński, którego śmierci rocznicę 250 obchodziliśmy w zeszłym roku, jak najprędzej został policzony w poczet swych Braci w męczeństwie.

K O R E A.

Mniemają powszechnie w Europie, Ameryce, Japonii a nawet Chinach, że Korea pod względem cywilizacji i oświaty, nader niski zajmuje stopień. Rzeczywiście na pierwszy rzut oka trudno sobie wyobrazić coś bardziej smutnego, ubogiego i nędznego, jak pierwsze miasto koreańskie, nie wyłączając stolicy. Wpływa to ztąd, że skutkiem długich wojen i ciągłych napaści na tę krainę ze strony potężnych sąsiadów, królowie korejscy zabronili nie tylko wszystkim cudzoziemcom wstępu do swego królestwa, ale nadto zakazali eksploatacji kopalń i wydali rozmaite prawa, które powstrzymały rozwój kwitnącego niegdyś narodowego przemysłu, zmuszając zarazem prywatne jednostki do ukrywania swych bogactw. Ztąd wypłynął stan pozornego opuszczenia i zaniedbania, który niejednego złudził już badacza.

Jeżeli jednak zechce ktoś bliżej przypatrzeć się tej krainie, to oprócz wspaniałych zabytków, świadczących o minionej świetności, znajdzie nader obfite żniwo pod względem ciekawych etnograficznych spostrzeżeń. Najodpowiedniejsze pole do takich spostrzeżeń stanowią

miasta, na ulicach ich bowiem spotykają się ludzie najrozmaitszych stanów, poczynawszy od najwyższych klas społecznych aż do najniższych przedstawicieli korejskiego społeczeństwa.

Na jednym z najwyższych szczebli tej drabiny społecznej stali niegdyś bonzowie, którzy jednak z upływem czasu stracili wiele ze swego dawnego wpływu i znaczenia tak, że dziś muszą się utrzymywać z jałmużny litościwych osób. Często można ich spotkać na ulicach korejskich miast lub wiosek z nieodstępną laską i skarbonką w ręku, która atoli bywa tak pustą, jak większa część świątyni buddyjskich w tym kraju.

Buddaizm wprowadzony do Korei w IV wieku po Chrystusie, rozkrzewił się tam z niezwykłą szybkością; największą zaś popularność zyskała sobie jedna z dwunastu jego sekt, znana pod nazwą *Jo-Jitsu-szu*¹⁾. Święta księga tej sekty nosiła tytuł *Jo-Jitsu-ron*, co oznaczało dosłownie księgę doskonałej prawdy. Wkrótce wpływ jej doszedł do takiego stopnia, że bonzowie korejscy wyruszyli do Japonii w celu rozkrzewiania tam swojej wiary, w roku zaś 624 regent Sagano-magu wyniósł buddaizm do godności religii państwowej, oraz mianował dwóch bonzów korejskich Kam-Ro i Taku-seki z których pierwszy był naczelnym zwierzchnikiem duchownym czyli *sozio*, drugi zaś jego zastępcą czyli *sody*. Później bonzowie zarówno w Korei, jak i w Japonii, brali niejednokrotnie czynny udział w wojnach domowych, które wstrząsały obu temi państwami²⁾.

Dopiero przy końcu XIV wieku nowa dynastia, wyniesiona na tron korejski, zaczęła prześladować buddaizm, który stopniowo stanął na drugim planie. Odtąd wpływ jego zmniejsza się z dniem każdym, większa część pagód stoi pustkami, jałmużny zaś bywają dawane bonzom raczej przez litość, niż przez szacunek dla ich powołania. Kwitnący więc niegdyś buddaizm doszedł

obecnie do opłakanego stanu w całej niemal Korei, z wyjątkiem prowincji Kyeng-yang, gdzie zdołał zachować dawną swą powagę. Wszyscy atoli mieszkańcy tego kraju, nie wyłączając buddystów, twierdzą, że w niedalekiej przyszłości z religii tej w całej Korei nie pozostanie ani śladu. Obecnie rolę państwowej religii odgrywa sekta Konfucjusza, zdobywająca sobie z dniem każdym coraz większą przewagę. Najpiękniejsze też świątynie w tym kraju, jak na przykład wspaniała pagoda w sto-

licy państwa Seulu, poświęcone są temu wielkiemu filozofowi chińskiemu. Obok właściwej świątyni w stylu czysto chińskim, mieści się też zwykle kilkanaście budynków, służących za schronienie licznym korejskim uczonym, którzy tam odbywają wyższe studia filozoficzne.

Wogóle każdy mieszkaniec Korei, z wyjątkiem garbarza i rzeźnika, jako ludzi należących do najniższej kasty, może zdawać egzamina, które otwierają wstęp do najwyższych godności publicznych. Egzamina wyższe oparte są na dokładnej znajomości języka i pisma chińskiego, jak również filozofii, poezji i historii. Można więc rzec, że w Korei tylko wysokie wykształcenie wiedzie do honorów i zaszczytów.

Potrzeba oświaty tak dalece przez rząd została uwzględniona, że nawet szlachcic, który nie zdoła zdać egzaminów państwowych, oraz którego dziad i ojciec z tegoż samego powodu zostali usunięci od urzędów publicznych, traci swoje szla-

chectwo. Nic też dziwnego, że mieszkańcy miast korejskich szanują tak dalece uczonych pierwszej klasy, że skoro mają zaszczyt przyjęcia ich w swych murach, wówczas na znak radości ustawiają przed bramą miasta wysoki słup, ozdobiony potwornym drewnianym smokiem, który zdaleka zdaje się unosić w powietrzu. Nawet ludność miejska ma takie zaufanie do osób, które przebyły szczęśliwie egzaminową kryzys, że częstokroć proszą pierwszego lepszego uczonego o rozstrzygnięcie swych sporów, poddając się pokornie jego wyrokowi. Wszystko to świadczy wymownie, jak dalece oświata ceniona jest w Korei, gdzie wszyscy już prawie umieją czytać i pisać i jak rychłych postępów dokonałby ten



Dzisiejszy król korejski ze synem; rycina podług fotografii.

¹⁾ M. B. Nanjio. *A short History of the twelve Buddhist Sects*, Tokyo, 1887.

²⁾ Ryauon Fujishma: *Le bouddhisme japonais, doctrines et histoire*, Paris, 1889, pag. 14, 20.

naród, gdyby mu dano poznać owoce europejskiej cywilizacji.

Że jednak sama wiedza książkowa nie wystarcza do prawdziwego ucywilizowania narodu, gdyż tego dokonać może tylko światło prawdziwej wiary, to na każdym niemal kroku widzimy w Korei. Pomimo nader nieznacznej ilości analfabetów, dotychczas jeszcze rozmaite zabobony i przesady trwają tam w całej swej sile. Tak na przykład krajowcy wierzą święcie w zemstę wywieraną przez upiory, które powstawszy z grobu, ściągają nieprzerwany szereg nieszczęść na osoby lub całe rodziny, nienawidzone przez siebie za życia. Skoro więc rozejdzie się pogłoska, że jakiś dom bywa po nocach nawiedzany przez upiory, wówczas przerażeni Korejczycy wzywają na pomoc czarowników i czarownice, które ustawiwszy w środkowej części domu stół, zastawiony najwytworniejszymi potrawami, błagają ducha, aby przyjął te dary i przestał dręczyć nieszczęśliwych ludzi, gotowych uczynić wszystko, czego od nich zażąda. Jeżeli duch nie daje się przebłagać, wtedy czarownicy zaczynają tańczyć i śpiewać, wydając donośne okrzyki, lub też robiąc piekielną wrzawę za pomocą rozmaitych muzycznych i niemuzycznych narzędzi.

Ceremonia ta trwa niekiedy w przeciągu kilku nocy, ponieważ czarownicy, utrzymywani przez cały ten czas kosztem nieszczęśliwej rodziny, wówczas dopiero zaprzestają swych zaklęć, gdy wyczerpią już całkowicie materialne jej środki. Zwykle też w takim razie oświadczają łatwowiernym krajowcom, że ponieważ prośby i błagania nie odniosły należytego skutku, należy więc użyć siły zbrojnej przeciwko upartemu duchowi i w tym celu przez całą ostatnią noc swego pobytu podwajają jeszcze dotychczasową wrzawę. Potem uzbroiwszy się w widły i miecze z drewnianą rękojeścią pomalowaną na czerwono, a ozdobioną kutasem tegoż samego koloru, ścigają złego ducha po całym domu, a wreszcie przyparłszy go w kącie, każą mu wejść nad ranem do butelki umyślnie przygotowanej w tym celu, którą następnie zatkawszy korkiem, zakopują głęboko. Na tem kończy się ceremonia, za którą

hałaśliwi czarownicy sowitą otrzymują zapłatę. Takie same ceremonie służą do odpędzania ducha sprowadzającego ospę.

Straszna ta choroba, pomimo szczepienia jej na nosie, wynalezionej przez Korejczyków, okropnie wpośród nich wyrządza spustoszenia, tak, że corocznie umiera z niej tysiące osób, reszta zaś nosi na twarzy szkaradne jej ślady. Skoro więc wybuchnie w jakiej miejscowości, wówczas każdy krajowiec, pragnący od niej się zabezpieczyć, zawiesza na ścianach swego domu oryginalne rysunki, przedstawiające strasznego ducha w postaci człowieka jadącego konno i przyodżianego w szaty najwyższych dygnitarzy państwa. Za pomocą tego pochlebstwa, Korejczycy mają nadzieję uśmierzyć gniew swego prześladowcy.

Nie zawsze jednak te ekstrakurtywne środki należyte wywierają skutek. W takim razie krajowcy wzywają znowu czarownice i czarowników, którzy rozpoczynają zwykłe wesołe życie urozmaicone ucztami, muzyką i szalonemi tańcami. Oryginalne to odpędzanie złego ducha trwa dopóty, dopóki uzdrowienie lub śmierć chorego nie położy mu tamy.

Widzieliśmy już jak Korejczycy starają się rozbroić ducha sprowadzającego ospę, dodajmy więc jeszcze, że tegoż samego systemu używają oni względem wszelkich innych chorób, których pragną uniknąć. W tym celu na małym, prostokątnym stolczku ustawiają rozmaite jadalne i dwa wazony

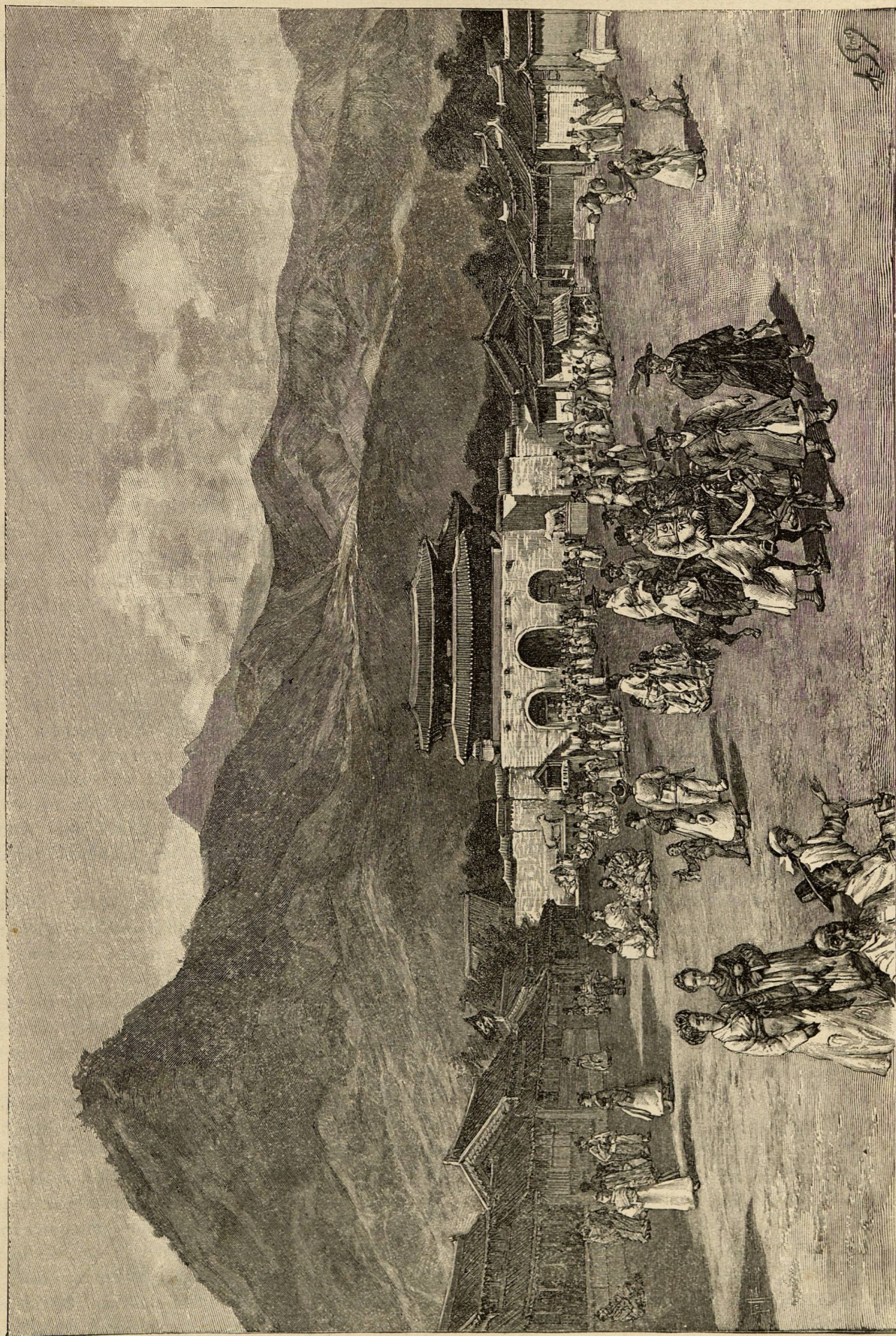
z kwiatami, po nad nim zaś zawieszają bęben, w który ojciec rodziny usiadłszy na ziemi wraz z żoną, uderza od czasu do czasu. Korejczycy czynią to w przekonaniu, że duch choroby, zaproszony w taki sposób na ucztę, ulituje się nad nimi. Jeżeli jednak chodzi o uśmierzenie gniewu ducha cholerycznego, wówczas cały proceder polega na przyklepieniu do drzwi rysunku, przedstawiającego kota. (Zob. rycinę na str. 12).

Ukąszenie szczura, mówią Korejczycy, wywołuje kurczę, cholera także. Kogóż boi się szczur? — kota, a więc i cholera musi przed nim ustąpić. Oto jeden z kwiatków logiki koreańskiej.

Groby Korejczyków, a zwłaszcza znakomitych



Rynsztunek wojenny generała koreańskiego z XVI wieku
(rysunek podług fotografii).



Widok na największą ulicę w Seulu, stolicy państwa Korejskiego; rycina podług fotografii.

dygnitarzy, noszą również liczne zabobonne cechy. Nad zwłokami zmarłego wznosi się kopiec usypany z ziemi i porośnięty trawą, naprzeciw niego duży stół kamienny służy do składania ofiar, po obu zaś stronach stoją posążki kamienne, przedstawiające wojowników, albo też lwy lub psy, a wreszcie dwa słupki, na których duch zmarłego, ulatujący po nad ziemią w postaci ptaka, może sobie odpocząć. Wreszcie w pewnej odległości od kamiennego stołu leży duża płyta z napisem grobowym, obok niej zaś stoją dwa posążki uczonych, albo też dwa konie kamienne na wypadek, gdyby dusza zmarłego chciała przedsięwziąć jakie podróże. Tu i owdzie również dają się napotykać groby, pochodzące z odległej epoki i ozdobione kamiennym posągami Buddy, nawpół zagrzebanego już w ziemi.

Posągi te robią zdaleka okropne wrażenie trupa, wysuwającego z pod ziemi skamieniałą swą głowę. Jeżeli reszta grobu uległa już ruinie, należy to przypisać wyłącznie niszczącemu zębowi czasu, gdyż w Korei, podobnie jak w Chinach, groby niezwykle otoczone są szacunkiem.

Po śmierci każdego swego członka, osierocona rodzina zasięga rady czarowników co do miejsca, na którym ma go pogrzebać, potem corocznie dopełnia tam żałobnych obrzędów, a wreszcie nawet po upływie wielu wieków, rolnik zdaleka omija groby, aby ich nie nadwerężyć swym pługiem. Każdy, ktoby się ośmielił znieważać miejsce wiecznego spoczynku, zostałby skazany na śmierć, grób bowiem w pojęciach korejskich stanowi niezbędny węzeł pomiędzy teraźniejszością a przeszłością, tak jak dziecię stanowi ogniwo, łączące teraźniejszość z przyszłością.

Takiż sam szacunek, jak względem miejsca wiecznego spoczynku, okazują Korejczycy względem starców i kobiet. Widząc nadchodzącego starca, wspartego zwykle na długiej i bardzo ładnie wyrzeźbionej lasce, zwanej w Korei podporą starości, każdy Korejczyk musi powitać go z uszanowaniem i ustąpić mu z drogi. Starość w Korei podwójną otoczona jest aureolą, bo, jeżeli patriarcha rodziny ma prawo do ogólnego szacunku, to musi być również prawdziwym ojcem dla tych, co go otaczają. Skoro zaś jakiś stary egoista uchybia temu obowiązкови, to mandaryn umie go przypomnieć, zachowując jednak przytem należyty miarę i nie ubliżając w niczem powadze podeszłego wieku.

Co do kobiet, to cieszą się one również wielu przywilejami i niewiasty do innych należące ludów, mogłyby im słusznie pozazdrościć stanowiska w społeczeństwie i rodzinie. Chociaż poligamia istnieje w Korei, zdarza się jednak nader rzadko i to wówczas tylko, gdy małżonek pragnie koniecznie mieć syna, niezbędnego do wykonywania pogrzebowych obrzędów. Zwykle też pierwsza żona opiekuje się nowonarodzonem chłopcem, jakby własnem swem dzieckiem, nietylko przez

przywiązanie do męża, ale także dlatego, aby w taki sposób zdobyć sobie zasługę na tamtym świecie.

Kobiety z niższych warstw społeczeństwa używają zupełnej swobody i mogą wychodzić do miasta, ilekroć im się podoba, ale natomiast panie, należące do wyższego towarzystwa, każą się nieść w palankinach hermetycznie zamkniętych, lub też wychodzą otulone długimi zielonemi płaszczami, które okrywają je od stóp do głowy, zasłaniając całą twarz z wyjątkiem oczu.

Zresztą w Korei kobiety mogą używać takich samych rozrywek i przyjemności, jak i w innych krajach, a nawet jedne drugim wizyty oddawać. Co do mężczyzn, ci lubią również życie towarzyskie, z wyjątkiem zaś polityki, której tam starannie należy unikać, w rozmowie zupełna panuje swoboda. Zwykłą jej treścią bywa piśmiennictwo, lub najnowsze poetyczne utwory, najczęściej jednak materiału dla poduflącej pogawędki dostarczają ploteczki, będące na porządku dziennym, ponieważ Korejczyk odznacza się zarówno wrodzonym dowcipem jak i nienasyconą ciekawością.

Zresztą charakter tego narodu z wielu względów zasługuje na uznanie. Słynną zwłaszcza jest gościnność korejska, której wielu próżniaków nadużywa częstokroć, żyjąc bez ceremonii kosztem drugich. Zresztą Korejczycy wspierają się nawzajem w razie potrzeby, pożyczają jedni drugim niezbędnych narzędzi rzemieślniczych lub rolniczych, pomagają sobie w pracy, nie żądając żadnej za to nagrody, a nawet robią pomiędzy sobą składki na koszt obchodów weselnych lub pogrzebów, aby tak znaczny wydatek nie zubożył rodziny, w łonie której obrzędy te się odbywają. Z tego wszystkiego wynika niezwykle solidarność pomiędzy wszystkimi bez wyjątku Korejczykami, którzy zdają się tworzyć jakby jedną rodzinę. Wielką też zaletę tego narodu stanowi wrodzona mu oszczędność i pracowitość.

Domy korejskie, z wyjątkiem pałaców zamieszkiwanych przez mandarynów lub innych wysokich urzędników, są po większej części niskie i otoczone mniej lub więcej rozległemi ogrodami. Jak w Japonii, tak też i w Korei, większa część ludności wcale nie posiada mebli. Stołki lub krzesła są tam nieznane, wszyscy siadają i kładą się na ziemi z tą tylko różnicą, że ubodzy śpią na podłodze, bogatsi zaś na matach, albo cieniutkich materacach. Poduszkę ubogiego Korejczyka stanowi kawał drzewa na 30 centymetrów długi a 15 szeroki, bogatsi zaś mają węgłowia z jakiegokolwiek tkaniny, wypchanej pierzem. Co do łóżka, to zbyt kłopotliwy ten sprzęt napotyka się tylko w domach mandarynów. Wszyscy jednak jadają na malutkim ośmiobocznym stole, mającym 20 centymetrów wysokości i 60 średnicy. Przed każdym z gości bez względu na ich ilość, musi stać podczas obiadu jeden taki stoliczek. Odzież zawieszają Korejczycy na długich drewnianych drągach, ozdobionych malowidłem albo inkrustacją. Wreszcie ume-

blowanie korejskiego domu uzupełniają rozmaite naczynia kuchenne i gospodarskie, z kamienia, drzewa, gliny lub metalu. Wszystkie te naczynia są naturalnie miejscowego wyrobu, gdyż niektóre gałęzie przemysłu, jak na przykład ceramika, dosięgły w Korei nader wysokiego stopnia artystycznego rozwoju.

Ceramika korejska dziś jeszcze niezmiernie jest cenioną przez Japończyków i Chińczyków, najstarsze zaś jej zabytki odznaczają się wdzięcznym kształtem i pięknym rysunkiem. Co do nowożytnego garncarstwa, to wyroby jego pod względem piękności nie ustępują wcale europejskim.

Najznakomitszym jednak wytworem korejskiego przemysłu jest papier, z którego następnie wyrabiają ubranie, kapelusze, obuwie, wachlarze, latarnie, parasolki, naczynia, pudełka i przesliczne zabawki dziecinne.

Papier korejski przewyższa pod każdym względem wyroby papiernicze chińskie i japońskie, najlepsze zaś jego gatunki wyrabiają się z kory drzewa morwowego.

Nie należy też zapominać o nader pięknej nowożytnej broni, narzędziach muzycznych, haftowanych tkaninach i przeslicznych klejnotach, świadczących, że żadna gałąź sztuki nie jest obcą Korejczykowi, który umie nawet każdej z nich indywidualną nadać cechę.

Co do rolnictwa, to główną jego gałąź stanowi uprawa bobu, który corocznie wywożą za granicę za sumę przeszło dwu milionów franków. — Missjonarze europejscy wprowadzili tam również uprawę ziemniaków, w niektórych zaś prowincjach uprawiają ryż i bawełnę.

Fauna domowa podobną jest do naszej z wyjątkiem kóz i owiec, hodowanych w niewielkiej ilości i przeznaczonych wyłącznie na rozmaite ofiary dla korejskiego Olimpu. W rzekach i jeziorach poławiają się rozmaite ryby, a przedewszystkiem karpie, ale niestety, na każdym niemal kroku po za obrębem miast, można zostać napadniętym przez tygrysa, lamparta lub panterę.

W odległej przeszłości główne bogactwo kraju polegało na eksploatacji rozmaitych kruszców, której jednak już oddawna z powodu nader częstych politycznych przewrotów, musiano zaniechać. Dotychczas jeszcze dzieje tego kraju gruba osłania pomroka. Wiemy tylko, że około 200 roku po Chrystusie, królowa japońska Okinagatarazy, znała bardziej pod nazwą Jingo-Kogo, przedsięwzięła wielką wyprawę do Korei, która jak najświetniejszym uwieńczyła się powodzeniem. Na samą wieść o wylądowaniu japońskiego wojska z odważną królową na czele, przebraną po męsku i występującą w roli zmarłego już męża, królestwa Szyraki, Koma i Kudara na korejskiem wybrzeżu poddały się jej dobrowolnie i zobowiązały do opłaty pewnego haraczu. Daninę tę mniej lub więcej skrupulatnie płaciła Korea aż do r. 1872, w roku zaś 1876 na podstawie traktatu

zawartego z Japonią, haniebny ten haracz ostatecznie został zniesiony ¹⁾.

Dalsza historia Korei jest dotąd bardzo mało znaną i odznacza się tylko kolejną przewagą wpływów chińskich lub japońskich. Pomyślniejsza doba dla tego kraju rozpoczęła się dopiero od chwili przeniesienia stolicy z Kuy-Czeu do Seula za czasów króla Litana. Odtąd Seul pozostał rezydencją monarchy, rządzącego w sposób absolutny ośmnastu milionami swych poddanych. Należy też wiedzieć, że król korejski piastuje potrójny urząd, arcykapłana składającego ofiary w imieniu swego ludu, ojca narodu dbałego o jego interesa, a wreszcie ogólnego bezpieczeństwa rozstrzygającego o wojnie lub pokoju.

Aż do ostatnich niemal czasów, monarchowie korejscy wiedli życie w zupełnem odosobnieniu od ludu, w głębi pałaców dostępnych tylko dla huryszek i eunuchów. Taki stan rzeczy trwał aż do pełnoletności obecnego króla.

Regent, który rządził krajem podczas jego małoletności, nienawidząc wszystko, co jest cudzoziemskim, nakazał krwawe prześladowanie chrześcijan w swem państwie. Postępowanie jego z chrześcijańską ludnością wywołało nawet kilka wypraw wojennych, przedsięwziętych przez Rosyę, Francję i Stany Zjednoczone.

Zewnętrzne położenie Korei w chwili wstąpienia na tron nowego monarchy, bardzo wiele pozostawiało do życzenia. Na szczęście ten ostatni, wolny od przesądów swoich poprzedników, zrozumiał niebezpieczeństwo, grożące całemu państwu i otworzył doń wstęp dla cudzoziemców, zawierając z nimi liczne traktaty pokojowe lub handlowe.

Jeżeli zewnętrzna polityka Korei gruntownie uległa zmianie, to wewnętrzna organizacja kraju pozostała też sama. Król zniósł tylko dawny harem pałacowy i zaczął reformować wojsko na sposób europejski. Zatrzymał jednak dwóch wybornych doradców, zdających mu codziennie sprawę ze stanu administracji publicznej, która składa się z misteryum obrzędów, utworzonego w celu utrzymania dawnych obyczajów i zwyczajów, ministeryum urzędów, finansów, wojny, spraw kryminalnych i prac publicznych.

Całe państwo dzieli się obecnie na ośm prowincyj: Kyeng-syang-to, Kang-uen-to, Czyung-czyeng-to, Tyen-la-to, Kyeng-keni-to, Ham-kyeng-to, Hpieng-an-to i Hoang-hai-to. Na czele każdej z tych prowincyj stoi gubernator, obok niego zaś naczelnicy powiatów, których ilość wynosi 332, to jest tylu, ile dni zawiera rok korejski. Potem następują mandarynowie, rządzący miastami powiatowemi czyli *fu*, dokoła zaś tych dygnitarzy grupuje się mnóstwo rozmaitych urzędników,

¹⁾ J. Eggermont: *Le Japon. Histoire et religion*, Paris, 1885, str. 39—41.

weteranów, satelitów, stróżów, szpiegów i t. p. osób, stanowiących klasę administracyjną. Kodeks karny zbliżony jest nieco do chińskiego i równą, jak tamten, surowością się odznacza.

Pomiędzy osobliwościami, właściwymi Korei, zasługują na uwagę tak zwane ognie sygnałowe. W stolicy tego kraju Seulu, codziennie podczas pokoju rozpalają się na czterech górach ogromne ogniska, po jednym dla każdego z dwóch prowincyj. W czasie wojny sygnał ten bardziej jest skomplikowany. Takie same ognie płoną we wszystkich prowincjach na wynioślejszych górach, dając znać stolicy, że w całym państwie panuje spokój. Dwa ognie na tej samej górze oznaczają wylądowanie nieprzyjaciela, trzy ognie — jego wtargnięcie, cztery zaś — rozpoczęcie nieprzyjacielskich kroków.

Oprócz tego świetlanego telegrafu, rząd korejski posługuje się też pocztą czyli *tek*, przeznaczoną wyłącznie na jego użytek. Zresztą w ostatnich czasach drut telegraficzny połączył Koreę z sąsiednimi krajami.

Z drugiej strony Korejczycy mogą słusznie się pochłubić alfabetem i kalendarzem narodowym, które dawniej cenione były przez Japończyków daleko wyżej od kalendarza i alfabetu chińskiego, chociaż niestety ten ostatni, stanowczo już w Korei odniósł teraz przewagę. Wreszcie w stolicy istnieje urzędowy dziennik, który przez czas długi był drukowany, obecnie jednak wychodzi w rękopisie.

Przez czas długi Korea była tak dalece zamkniętą dla reszty świata, że z wyjątkiem ambasadorów chińskich, którzy przybywali tam corocznie i na granicy nader ściślej ulegali kontroli, nikt pod karą śmierci nie mógł dotrzeć do tego państwa. Ojcowie misjonarze przekroczyli pierwsi barbarzyński ten zakaz i zdołali w nocy przeprawić się przez pograniczną rzekę, strzeżoną z jak największą pilnością. Wkrótce jednak musiano wyrzec się tego środka, gdyż rząd korejski dowiedziawszy się o przekroczeniu swego terytorium, wytresował psy do ścigania cudzoziemców. Od tego czasu Ojcowie przybijali do korejskich wybrzeży na lekkich łodziach przyszłych swoich parafian, którzy z narażeniem własnego życia, przeprowadzali misjonarzy w głąb kraju. Tam ukrywano ich przed niedyskretnym okiem za pomocą ubioru korejskich sierót, zasłaniającego całkowicie twarz i uwalniającego ze względu na żałobę od wszelkich pytań i zaczepek ze strony obcych. Dzisiaj nareszcie dzięki traktatom, zawartym z rozmaitemi państwami, Korea została otwartą dla cudzoziemców, a przez to i opowiadaczy Słowa Bożego.

(Dok. nast.).

Z Kartaginy do Sahary,

przez X. M. Bauron'a ¹⁾.

I.

... Po kilku godzinach podróży w pustej i bezludnej okolicy, wydajemy okrzyk podziwu na widok czarownej Sbejtl. Starożytne to miasto zajmuje rozległą półkulistą przestrzeń, leżącą po nad rzeką, zarysowując na tle niebieskawem ogromne fantastyczne linie żółtych swoich zwalisk. Uwagę naszą zwraca najprzód piękny łuk tryumfalny, przez otwór którego widać w profilu trzy świątynie wraz z tryumfalną bramą, o kilka metrów dalej zbudowaną. Zwaliska te dzięki czystości stylu, piękności materyałów i uroczej okolicy, jaka je otacza, mogą być zaliczone do najwspanialszych zabytków rzymskiej starożytności. Chociaż nie mam zamiaru opisywać wszystkich ruin napotykanych w Sbejtl, nie mogę jednak pominąć milczeniem przepysnej architektury trzech świątyń, zbudowanych jedna obok drugiej. Środkowa ma 8 metrów długości na 6 metrów szerokości i łączy się za pomocą arkad na 4 metry szerokich z dwiema świątyniami pobocznymi, w dość smutnym znajdującymi się stanie. Na schodach do nich wiodących leży mnóstwo kolumn i fryzów, zgruchotanych bądź ręką ludzką, bądź też dłonią nieubłaganego czasu.

Wszystkie te świątynie wzniesione pierwotnie przez pogan, zamieniły się następnie w chrześcijańskie kościoły. Ściany ich zbudowane zostały z przepysznych ciosanych kamieni, z których każdy ma jeden metr długości na pół metra szerokości i grubości. Podczas gdy głazy leżące na ziemi mają kolor biały lub zielonkawy, te z nich, które wystają po nad powierzchnię gruntu, przybrały pod wpływem powietrza i słońca barwę żółtą ze złotawym lub różowym odcieniem.

Sbejtl czyli starożytna Suffetula znajduje się obecnie w takim stanie, w jakim przed dwunastu wiekami pozostawiła ją olbrzymia katastrofa polityczna, która położyła koniec bizantyńskiej monarchii. Rozrzucające dzieje tego miasta zasługują w zupełności na to, aby je choć w streszczeniu opowiedzieć.

Mieszkańcy Sbejtl cieszyli się dawniej takimiż samymi prawami, jak obywatele miast rzymskich, do zenitu jednak swej chwały i znaczenia doszło to miasto w bizantyńskiej dopiero epoce. Historyk arabski Edrizi mówi o niem, co następuje:

»Przed przyjęciem islamu, Sbejtl pozostawała w posiadaniu afrykańskiego króla Gergesa i słynęła zarówno ze swego ogromu i piękności, jak z obfitości

¹⁾ Niniejszym artykułem rozpoczynamy drugą seryę notatek z podróży, jeszcze bardziej interesujących jak te, któreśmy zamieścili w roczniku poprzednim.

wód, łagodności klimatu i bogactwa mieszkańców. Ota-
czały ją dokoła prześliczne pola i ogrody. W pierw-
szych latach hegiry zdobyli ją muzułmanie, zamordo-
wawszy poprzednio króla Gergesa.

Ten Gerges, albo raczej Grzegorz, był z początku
gubernatorem Afryki bizantyńskiej, później wszakże
zbuntował się przeciw swemu władcy, ogłosił się nie-
zależnym królem, zaczął wybijać własną monetę i wy-
brał Sbejtlę na swoją stolicę.

W r. 647 naszej ery, hordy muzułmańskie prze-
biegają Trypolis, równinę Araad, Gabes i zaczynają już
grozić prowincji zbuntowanego gubernatora. Wówczas
Gerges wychodzi na ich spotkanie i zaciętą toczy z nimi
bitwę. Gerges miał córkę wysoką, smukłą, o włosach

złocistych jak jutrenka i oczach niebieskich jak morze.
Gdy wyjeżdżała na wojnę obok swego ojca na rączym
koniu i wietrzyk zaczął poruszać jej płaszczem, a słońce
odbijało się w blaskach srebrzystej tuniki, wówczas
wszyscy wojownicy zatrzymywali się, aby ją ujrzeć,
podziwiać i witać donośnymi okrzykami.

Zadowolony z takiego entuzjazmu Gerges za-
pragnął zeń skorzystać i obiecał dać swą córkę za żonę
temu, kto przyniesie mu głowę muzułmańskiego wodza
Abdallaha.

Z drugiej strony pewien muzułmanin imieniem
Zobeir, zobaczywszy raz w tłumie piękną bohaterkę,
poradził Abdallahowi przyrzec ją temu za żonę, kto
mu przyniesie głowę gubernatora.



Śledztwo.



Wymiar kary.

Sceny korejskiego sądownictwa; podług fotografii.

Rozpoczęła się więc walka, codziennie jednak gdy
słońce w południowej porze silniej zaczynało dopiekać,
wojownicy z obu obozów składali broń i przez parę
godzin odpoczywali.

Pewnego dnia Zobeir wystąpił do walki tylko po-
łową żołnierzy, gdy zaś rycerze Gergesa udali się na
spoczynek, wówczas przebiegły muzułmanin natarł
z drugą połową wojska na śpiących chrześcijan i bez-
litośnie ich wymordował. Gerges poległ z mieczem
w rękę, córka zaś jego dostała się w niewolę i miała
zostać żoną Zobeira. Ale piękność i cnota chrześcijań-
skiej dziewczyny, wzbudziły w nim taki szacunek i uwiel-
bienie, iż dobrowolnie wyrzekł się praw do niej, które
z takim trudem sobie wywalczył.

Odtąd Sbejtlę nie dźwignęła się już ze swego
upadku, sądzę jednak, że gdy kolej żelazna spopulary-
zuje w Tunetanii najnowsze zdobycze cywilizacji i po-

stępu, wówczas miasto to powstanie jak feniks z popio-
łów, nowi zaś chrześcijańscy mieszkańcy ożywią jego
zwaliska dziś samotne i nieme.

Pan Conova, reprezentant francuski z Kairuanu,
dał nam list do szejka w Sbejtlę, polecając nas jego
względem. Niestety, fotografowanie zabytków minionej
epoki zajęło nam tyle czasu, że gdyśmy pomyśleli o od-
szukaniu mieszkania przyszłego naszego protektora, słońce
zaczęło się już schylać ku zachodowi. Ponieważ jednak
pomiędzy zwaliskami pasły się liczne trzody, strzeżone
przez pasterzy, byliśmy więc pewni, że ci ostatni nie
odmówią niezbędnych nam wskazówek.

Zaledwie atoli skierowaliśmy ku nim nasze kroki,
gdy oto wszyscy Arabowie znikli jakby pod ziemią, owce
zaś i kozy rozbiegły się na wszystkie strony. Wreszcie po
za rozłożystym krzakiem spostrzegam dwóch chłopców
i witam ich zwykłym *salem*, ci wszakże zamiast mi

odpowiedzieć, uciekają co sił starczy. W oddali tylko widać kilku jeźdźców przypatrujących się całej scenie i zapewne szydzących z zakłopotanego *rumi*.

Tymczasem słońce zniża się coraz dalej na krańce widnokręgu, pozostawiając nam perspektywę noclegu w polu o chłodzie i głodzie. Każdy więc wyraża swe zdanie, jeden chce cofnąć się nieco i przenocować w świątyni, drugi radzi jechać naprzód, trzeci zaś zamiast myśleć o wywikłaniu się z matni, zwala całą winę na swych towarzyszy.

Nagle spostrzegamy dwóch Beduinów, którzy starają się nas wyminąć, a gdyśmy to im uniemożliwili, dają nam do zrozumienia gestami, że szejka nie ma wcale, kalif zaś mieszka o 15 kilometrów od Sbejtli. Pokazujemy więc list pana Canova, ale obaj Arabowie nie umieją czytać i okazują tylko zdumienie na widok pieczęci francuskiego rezydenta. Wreszcie po cichej ze sobą naradzie oświadczają, że szejka plemienia Mcara mieszka w pobliżu i ofiarują się przewodniczyć nam do jego namiotu ze skwapliwością również zagadkową, jak zagadkowym było z początku ich niedowierzanie.

Za przybyciem do celu wręczamy niezwłocznie szejkowi list, który przechodzi z rąk do rąk, gdyż nikt nie umie go odczytać. I tu jednak pieczęć wywiera wpływ magiczny, szejka bowiem całuje ją z szacunkiem, poczem wita nas, przykładając rękę do czoła i piersi, oraz przedstawia nam dwóch swoich synów. Z kolei wszyscy mężczyźni z tego plemienia składają nam swoje *salem alejkum*, dotykając rękami naszego ubrania i całując je z uszanowaniem.

Po chwili kilkanaście młodych kobiet wyrwa słupy z najlepszego namiotu, bierze najpiękniejsze maty i zakłada dla nas obóz o jakie sto kroków od swej wioski czyli *duaru*. Żadna z tych kobiet nie nosi zasłony, całe zaś ich ubranie stanowi niebieska tunika, sięgająca do kolan. Głowa, szyja, ręce, nogi są zupełnie nagie i ozdobione mnóstwem klejnotów niezbyt kształtnego wyrobu, a mianowicie: srebrnych medalionów, naszyjników, bransolet i pierścieni. Około namiotu kręci się mnóstwo dzieci, żywych, wesołych, ale brudnych i prawie nagich. Rozdajemy pomiędzy nich kilkanaście lusterek i wkrótce powóz nasz zostaje okrążony przez Arabów i Arabki rozmaitego wieku, tak, że z trudnością możemy uchronić nasze walizki od ich natarczywości.

Po jakimś czasie rozpoczyna się scena prawdziwie biblijna. Na rozległej płaszczyźnie płonie kilka ognisk i kobiety zaczynają się krzątać około wieczerzy. Jedne zabijają baranka, drugie podług przepisów koranu zadają śmierć biednym kurom, inne przygotowują ciasto z mąki ryżowej na kluseczki.

Wioska a raczej obóz arabski, zwany przez nich *duarem*, w którym znaleźliśmy schronienie, zasługuje również na parę słów opisu. Otacza go żywy płot z kaktusów z jednym tylko otworem, strzeżonym przez kilka-

naście złośliwych brytanów. Najbliżej od parkanu stoją wielbłądy, dalej nieco krowy, przy samych zaś namiotach owce, kozy, konie, osły i kury.

Namioty zrobione są z tkaniny wyrabianej z sierci wielbłąda, w białe i czarne paski, i wyglądają zdala jak obrzymie nietoperze z rozpostartymi skrzydłami. Duar plemienia Mcara, w którym tę noc spędzamy, składa się z kilkunastu namiotów, zamieszkiwanych przez 34 mężczyzn oraz 60 kobiet i dzieci. Obóz wybornie strzegą psy, tak, że żaden złoczyńca zakraść się doń nie potrafi.

Na krańcach widnokręgu tarcza słoneczna znikła jakby w płomieniach odległego pożaru, a sierp księżyca zawieszony w przestworzu, oblewa srebrnem światłem malowniczy krajobraz. Przed każdym namiotem płonie niewielkie ognisko, którego płomień chwieje się na wszystkie strony jak powiewna draperya i rzuca czerwonaśnawą połysk na siedzące dokoła osoby.

Noc już zapada, gdy na olbrzymich półmiskach z czerwonej gliny i na talerzykach miedzianych, kilka Arabek przynosi nam upragniony *kuskus* czyli wieczrę. Składa się ona z ryżu, baraniny, kurcząt, jaj, bananów, daktyli, pistacyj i fig berberyjskich, za napój zaś służy czysta, świeża woda. Spożywamy to jadalę, trzymając półmiski na kolanach, aby po chwili podać je swoim woźnicom, który z kolei dzielą się niem z Arabami. Kości dostają się wiernym brytanom, a półmiski zupełnie próżne wracają do namiotu.

Po skończonej uczcie wszyscy Arabowie zasiadają dokoła naszego ogniska. Najprzód zdejmują *czeczje* i pantofle na dowód uszanowania względem swych gości, poczem podnoszą ubranie, o ile przyzwoitość na to pozwala, wsuwają na parę minut stopy do gorącego popiołu i dopiero wówczas rozpoczynają gawędkę.

W ciągu rozmowy częstujemy ich papierosami, wiedząc iż stanowią one najmilszy dla Arabów podarunek. Po chwili konie ze spętanymi nogami, najadłszy się do syta jęczmienia, zbliżają się również do ogniska i opierają głowy na ramionach ludzi. I one jak widać pragną wziąć udział w wieczornej zabawie. Niebawem jakaś kobieta przynosi tamburyno, trzyma je przez chwilę przy ogniu i próbuje dźwięku dopóty, dopóki ten instrument nie nastroi się na pożądaną nutę. Za nią zjawiają się dwaj młodzi Arabowie w białych tunikach, nowych turbanach i pasach, oraz z fujarkami w ręku. Stopniowo grono muzyków i śpiewaków coraz bardziej się zwiększa, wszyscy zaś jego członkowie powitawszy nas głębokim ukłonem, rozpoczynają preludium do religijnego hymnu.

W przekonaniu tych ciemnych lecz głęboko pobożnych ludzi, pierwszy hymn, pierwszy dźwięk, pierwsza harmonia należy się Allahowi. Jako ilustracja tego hymnu służą miarowe poruszania głową, ramionami, i poważne przechylenie się na obie strony.

Potem następuje pieśń o Abd-el-Kaderze czyli słudze Bożym, odśpiewana solo przez jakiegoś Araba przy dźwiękach tamburyna. Instrument ten zaczyna wówczas krążyć pomiędzy całym zgromadzeniem, a każdy z obecnych kładzie doń *karuba* czyli niewielką srebrną monetę, jako zapłatę dla muzyków i trubadurów.

Po Bogu i Jego służbie, najdroższą sercu każdego dobrego muzułmanina jest ojczyzna i wielkie, święte miasto Kairuan, zwane przez nich obrazowo kwiatem lub gwiazdą pustyni. Zachęceni naszemi oklaskami muzycy i śpiewacy, w coraz większy wpadają zapał, śpiewając lub grając bez wytchnienia. Wszyscy zaś obecni słuchają w milczeniu natchnionych słów pieśniarzy, albo smętnych melodyj, wygrywanych na fujarkach. Konie nawet zdają się być zachwyczone tem, co widzą i słyszą, psy przysłuchują się z komiczną powagą, dalej zaś nieco wielbłądy przestają chrupać trawę i wyciągają ciekawie długie swoje szyje. Tymczasem błądy księżyc wypływa coraz wyżej na lazurową powierzchnię, oblewając łagodnym, srebrzystym blaskiem uśpione wzgórza i doliny.

Pan Hébrard żałuje, iż nie może odfotografować sceny tak oryginalnej i tak pełnej czysto miejscowego kolorytu. Na stokach Bethelu i dolinach Mambry musiano za czasów patriarchy Jakóba w takiż sam sposób przepędzać wieczory.

Pomimo zmęczenia nie myślimy wcale o spoczynku, dopiero około północy towarzysze moi dziękują muzykom, ja zaś, jako odgrywający rolę marabuta, pozdrawiam wszystkich obecnych Arabów i daję hasło do rozejścia się.

Niebawem Beduini wracają do swego obozu, my zaś otuliwszy się kołdrami, wyciągamy na matach zbołałe członki i pomimo wiatru, powiewającego przez szpary namiotu, od którego się zabezpieczamy za pomocą walizek, zasypiamy z głową pełną rojeń o pustyni i dzikich jej mieszkańcach. Jeden tylko p. Hébrard nie może usnąć, gdyż uszu jego dochodzi odgłos walnej narady, toczonej w obozie. Narada ta trwała przeszło godzinę, gdyż wszyscy Arabowie kolejno głos zabierają. Wreszcie następuje cisza i po upływie chwil kilku pan Hébrard dostrzega dwa białe burnusy, przesuwające się koło naszego namiotu. Budzi więc p. Dumont'a, poczem obaj chwytają strzelby, gdy tymczasem dwaj krajowcy wsuwają się do namiotu i kładą na ziemi obok mych przyjaciół. Po co tu przyszli? czy z jakimś nieuczciwym, zbrodnictwem zamiarem? czy trzeba do nich strzelić i zmusić do ucieczki?

Jednakże Achmet odgadłszy myśl pp. Hébrard i Dumont, szepce do nich zcicha: »Nie bójcie się, panowie, ludzie ci są waszymi obrońcami. Przed chwilą całe plemię naradzało się nad tem, czy nie należy okazać wam swego szacunku, dając straż honorową do waszego rozporządzenia. Każdy w tej mierze podawał

swój wniosek, a wreszcie po długiej naradzie postanowiono wysłać do was tych dwóch ludzi, jako obrońców w razie niebezpieczeństwa«.

O wschodzie słońca wrzawa panująca w obozie budzi nas z miłego spoczynku. Okrzyki Beduinów, rżenie koni, ryk wielbłądów, parskanie osłów i pianie kogutów, zlewają się w chór niezbyt harmonijny, lecz pełen życia. Konie nasze stoją już zaprzężone, szejk dogląda osobiście ładowania naszych pakunków, synowie zaś jego przynoszą nam jaja i mleko. W chwili odjazdu otacza nas cały personal *duaru*, mężczyźni w pierwszym szeregu, kobiety w drugim, a szejk żegna nas uroczystymi następującemi słowy:

»Plemię Mcara cieszy się niezmiernie, iż miało szczęście przyjąć pod swym namiotem trzech znakomitych *rumi*. Oblicza wasze pozostaną w naszych sercach daleko dłużej, niż na gładkiej powierzchni lustra«.

— Dzięki ci, wielki szejku, za twą braterską gościnność — odpowiadam mimowolnie wzruszony. Dusza wasza jest siostrą naszej, przyjaźń zaś pomiędzy nami będzie trwała dłużej, niż płomień obozowego ogniska. Dopóki księżyc, który był świadkiem wczorajszego wieczoru, będzie przyświecał tunetańskim dolinom, dopóty we Francji słynąć będzie nazwa plemienia Mcara. A teraz wszystkim wam braciom *salem*!



Korea. — Palankin; podług fotografii.

Za tak serdeczną gościnność nie wypadało płacić pieniędzmi, z drugiej zaś strony Arabowie ci są tak biedni, że nie chcieliśmy nadużywać ich gościnności. W takim razie etykieta pozwala złożyć jakiś podarunek, lecz czyż podobna znaleźć coś podobnego w głębi samotnej pustyni? Z dwojga więc złego, wolimy prosić szeika o przyjęcie od nas pieniędzy, na co ten chętnie się zgadza.

Wkrótce namioty Beduinów znikają nam z oczu, inne zaś przedmioty i krajobrazy pochłaniają naszą uwagę. Najbliższym celem naszej podróży jest teraz Feriana, odległa o 68 kilometrów. Wyjeżdżamy na rozległe równiny porośnięte alfą, w której się ukrywa mnóstwo zajęcy i kuropatw. Towarzysze moi mogą zadowolnić w zupełności myśliwską swą żyłkę i niebawem całe dno powozu zostaje wyładowane zwierzyną, z której sobie wieczorem wyprawimy ucztę.

Tu i owdzie sterczą zwaliska jakichś budynków, prawdopodobnie niewielkich warowni, które w burzliwych epokach czuwały nad bezpieczeństwem okolicznych wiosek.

Dotąd oprócz rzeki Menesser w Sbejtli, nie spotkaliśmy jeszcze żadnego większego zbiornika wody, której brak już nam bardzo dawał się uczuwać. Po południu zrywa się gwałtowna burza i dojeżdżając do Kasseryny, leżącej na połowie drogi, powóz nasz brnie w wodzie aż po osie, cała zaś dolina zamienia się w przeciągu godziny w ogromne spienione jezioro. Na domiar złego, powóz ugrzął w bagnie i podczas gdy cztery konie dokonywają niesłychanych wysiłków, aby go ztamtąd wydobyć, my musimy pieszo przebywać kawał pola, zamieniony w bagnisko. Jezioro Fusennah wystąpiło z brzegów i rozlało się na rozległej przestrzeni, tocząc białawe wody, podobne do mleka.

Wreszcie jakiś litościwy Arab spieszy nam z pomocą, wskazując miejsce, w których woda jest najbardziej płytką. Po wielu trudach i mozolnych usiłowaniach dostajemy się na koniec do Kasseryny, przytulonej do nagiego, stromego stoku. Nazwa ta oznacza dwa zamki dawnej kolonii Cillitańskiej, z których pozostał tylko łuk tryumfalny i wspaniałe mauzoleum, na którym czytamy, że jakiś Flavius secundus żył lat 110, żona zaś jego Flavia Urbana była o 5 lat od niego młodsza. W starożytności cała Tunetania, jak wiadomo, należała do krain słynących z długiego życia swych mieszkańców. Bogaci Rzymianie, doszedłszy do pode-

szłego wieku, przenosili się do tego kraju, aby o ile możliwości odwlec złowrogą chwilę, w której nielitościwa Parka przetnie nić doczesnej ich egzystencji.

Cała okolica pomiędzy Sbejtłą, Maktarem, Feriano i Sidi-Aich, obfituje w grobowce, wzniesione na cześć zmarłych, którzy rozpoczynawszy drugie stulecie ziemskiego żywota, pożegnali się z tym światem.

W pobliżu mauzoleum Flawiusza wznosi się na wzgórzu łuk tryumfalny, dotąd jeszcze w niezłym utrzymaniu. Opodał, jak się domyślam z wypukłości gruntu i podstaw kolumn sterczących tu i owdzie, musiał niegdyś znajdować się amfiteatr, przyparty do wzgórza, a zakończony portykiem i tryumfalnym łukiem. Domyśl ten stwierdzają nawet pomniki rzymskie w in-

nych miastach, jak na przykład Rzymie, i Poli, gdzie obok areny wznoszą się tryumfalne łuki w takim samym niemal do nich stosunku.

Podług napisu, wyrytego na kasseryńskim łuku, został on wystawiony na cześć Kwintusa Manliusza Feliksa, przez wdzięcznych mieszkańców kolonii Cillium.

W r. 411 podczas wtargnięcia Maksencyusa i nieszczęść, jakie skutkiem tego spadły na Afrykę, łuk ten został zburzony, ale w roku następnym obywatel tego miasta Kajus Apronianus odbudował go na nowo.

Gdy usiadłszy na schodach jakiegoś zburzonego gmachu, zabraliśmy się do spożycia skromnego posiłku, przybył kalif, zapraszając nas usilnie na nocleg

do siebie. Musieliśmy jednak podziękować za to zaproszenie, gdyż tego samego dnia pragnęliśmy dotrzeć do Feriany, co niezmiernie zmartwiło kalifą, który chcąc w jakikolwiek sposób okazać swą gościnność, przysłał nam niezwłocznie przez jakiegoś młodego Araba trochę mleka, sucharów i świeżych daktyli.

Od Feriany dzieli nas jeszcze około 13 kilometrów. Droga wiedzie wśród przepysznych łąnów dojrzewającej alfy, w miarę zaś podnoszenia się poziomu płaskowzgórza, który wynosi tutaj przeszło 800 metrów, klimat staje się coraz zdrowszym i bardziej umiarkowanym.

I tu również nie braknie zwalisk, pochodzących z odległej epoki. Oto ruiny sławnej Telepty, połączonej z sąsiednią Elkidą za pomocą rzymskiego wodociągu. Kamienie leżące tu i owdzie, wyglądają jak lakierowane, ostre zaś ich kontury błyszczą w słońcu jak jak kryształ soli. Niektóre z tych głazów zupełnie już zwietrzały i za dotknięciem rozsypują się w próchno,



Korea. — Kot fetysz. (Zob. str. 4).

inne pod wpływem deszczu i słonecznego światła, żółtą lub zielonawą przybrały barwę.

Porucznik miejscowych spahisów, pan Crozeilles, służy mi za przewodnika po zwaliskach zburzonego grodu. Zwiedzamy z nim konno ogromne mury twierdzy, przypatrujemy się wodociągom, fontannie i licznym grobowcom wyciosanym w skale. Tam to zbieracze starożytności mogą znaleźć obfity zapas starożytnych naczyń, lamp, półmisków, medali, oraz klejnotów rzymskich i punickich.

Zasługują też na uwagę wspaniałe murowane łazienki, pochodzące z czasów panowania Antoninów, a zwane przez Arabów El Hamman. Widać tam jeszcze ogromne sale, których podłoga, jak głosi tradycja, wyłożona była mozaiką nie istniejącą już obecnie.

W obrębie twierdzy istnieją jeszcze ślady czterech bastyonów, świątyni, która miała kształt bazyliki i kilku ulic. Nadto na przestrzeni pięciu kilometrów, napotykają się co parę kroków jakieś gruzы poczerwiałe i smutne. *Sic transit gloria mundi!*



Tunetania. — Ruiny rzymskich łaźni w Telepte; podług fotografii.

II.

Nazajutrz zrana o godzinie 7 wyruszyłem z porucznikiem Crozeilles i jego adjutantem do zwalisk Telepty, przezwanego przez krajowców Medinat-el-Kdima, czyli starym miastem. Zwaliska łaźni, którym promienie słońca różową nadają barwę, uwydatniając się na szarym tle góry o poszarpanych stokach, z których niegdyś rzymscy galernicy wydzielali ogromne głazy, rozrzucone obecnie w samotnej przestrzeni. Świeża zieloność opasuje te ruiny młodzieńczym wieńcem, zdając się szydzić z ich zgrzybiałości. Na północ-zachód cztery piękne kolumny, pozostałe z jakiegoś

gmachu, wysuwają ku niebu korynckie kapitele, podobne nieco do tych, jakie widzimy w perystylu ateńskiego Partenonu. Kolumny te po arabsku zowią się *El Akhuat*, czyli braćmi.

Co za uderzający kontrast pomiędzy temi zwaliskami a złocistym łanem zboża, zasianym u ich podnóża, pomiędzy cichą, lecz zawsze czynną i świeżą roślinnością, a wspomnieniami ruchu i życia, jakie ruiny te budzą!

W oddali spostrzegam jeszcze ślady mieszkań prywatnych wraz z zakrętami ulic i kątami, tak zwanych *insulae*, czyli dzielnic miasta. Okolica nie straciła nic jeszcze ze swej klasycznej piękności, ale dawny ruch,

walki i uroczystości zastąpiła samotność, śmierć i pustynia.

Stopy moje deptają prochy zmarłych, lub znieważone i próżne grobowce, z których pozostały tylko medale, pieczęcie, wyszczerbione półmiski i stłuczone amfory. Zdaje mi się, że jakiś niewysłowiony smutek zalega całą tę przestrzeń, niosąc ze sobą skargi minionych pokoleń. Jak się to stać może, aby miasto potężne, bogate, obfitujące w świątynie, szkoły, zasobne biblioteki, łazienki, teatr, cyrk i t. p. gmachy publiczne, znikło nagle z widowni, nie pozostawiając nawet po sobie wspomnienia?!

Niegdyś byli tu kapłani, biskup, ludność chrześcijańska, gubernator, żołnierze, oraz administracja cywilna i wojskowa, dziś wszystko to się rozwiało w próżni i nicości.

Był kiedyś czas, gdy wielcy i możni przestali słuchać prawa Bożego, lud zaczął się nurzać w kałużach występku, głos Papieży i kapłanów nie znajdował echa, a władze naczelne przestały dbać o dobro obywateli kraju. Nadmierne użycie wolności przywiodło do zapomnienia o prawach Pana świata, teatr okazał się zbyt szczupłym, a Kościół zbyt obszernym. Ale Bóg zastrzył pociski swej sprawiedliwości i w palących krainach Wschodu przygotował odważnych rycerzy z błyszczącym mieczem w dłoni.

Nagle zerwała się burza i hordy muzułmańskie przebiegły jak huragan, zalewając kraj cały strugami krwi i łez. Dziesięć wieków już upłynęło, a dotąd na zgłiszczach nie porosły kwiaty, a to dlatego, iż braknie tam ołtarza, kapłana i ofiary. Cóż to za wymowny komentarz do psalmu: *Quare fremuerunt gentes et populi meditati sunt inania!* Chrystus, którego królestwo ma się rozszerzyć na całym świecie, karci żelazną różgą narody buntownicze i niewdzięczne, lub druzgoce je jak gliniane naczynia, kapłani zaś Jego nie mają nawet szczęścia udzielić rozgrzeszenia tym, którzy od katastrofy uchronić się zdołali. Dlatego też niektóre afrykańskie krainy, trzymające się jeszcze biblijnych zwyczajów, są jakby jaskrawym obrazem okropności Bożego gniewu.

Takie to myśli owładnęły mój umysł, gdy podążałem wśród zwałisk do pięknej Feriany. Jest to oaza, której nazwa oznacza miasto strumieni, z powodu licznych kanałów, przerzynających jej ulice. Miasto to istniało już w odległej starożytności, ale uległo zniszczeniu, dzisiejsza zaś miejscina stanęła nieco dalej, w miejscu daleko mniej zdrowym i malowniczym. Stanowi ona prawdziwy labirynt wązkich i krętych uliczek z niekształtnymi domkami z *tołu*, czyli cegiełek z błota, wysuszonych na słońcu. Taki materyał budowlany pod wpływem słońca, wiatru i deszczu, bardzo szybko się rozpada w gruzy, tak, iż żadna niemal chata w należytym nie znajduje się stanie. Szereg nędżnych tych

lepierek otacza dokoła meczet Sidi-Talil, jedyny budynek, który posiada jakiekolwiek architektoniczne cechy.

Od kilku Arabów, stojących w progu świątyni i oczekujących końca postu, dowiaduję się, że wnętrze jej ma być bardzo pięknem. Próbuję więc dostać się na dziedziniec, ale natychmiast całe grono, nie chcąc dopuścić takiej profanacji, zatamowuje mi drogę. Nie przeszkadza im to jednak wcale zapytać mię, która jest godzina, odpowiedź zaś moja, zapowiadająca za dziesięć minut początek modlitwy, uczty i zabawy, wywołuje na ich twarzach wyraz dziecięcej niemal radości.

Feriana liczy 600 mieszkańców, zaludniających dwie dzielnice, z których jedna jest całkowicie arabską, druga zaś zbudowana w pobliżu koszar, posiada w łonie swej ludności trzech Francuzów, braci Bertrand i ich siostrę pannę Cecylię. Ta ostatnia zaczyna niezwłocznie krzątać się około posłania naszych łóżek i przyrządzenia wieczerzy złożonej z kuropatw, oraz innej zwierzyny, którą panowie Dumont i Hébrard składają z dumą na stole.

Podczas tych przygotowań zwiedzamy sklepy i przepyszne ogrody z mnóstwem fig, oliwek, a nawet granatów. Feriana jest pierwszą oazą, jakąśmy spotkali na swej drodze. Wzrok nasz nie może niemal się oderwać od prostych, smukłych, wyniosłych palm, powiewających ślicznymi gałęziami po nad rozległą winnicą, piersi zaś oddychają z rozkoszą czystym, orzeźwiającym powietrzem, przesyconem wonią bujnych traw i kwiatów.

Zewsząd też niemal dolatuje tajemniczy szmer strumieni, a na zwilżonych niemi piaskach pyszna rozściela się roślinność. Ciche to ustronie tem większy posiada urok, że dokoła niego ciągnie się piaszczysta, jałowa pustynia, pozbawiona roślinności i wody. Ileż to innych miejscowości tego kraju możnaby użyźnić za pomocą racjonalnej irygacji, ale niestety, nabycie ich niesłychanie przedstawia trudności. Pan Bertrand od lat ośmiu tu mieszkający, nie zdołał jeszcze nabyć ani piędzi ziemi.

Odległość z Feriany do Gafsy wynosi 66 kilometrów, na przestrzeni zaś 4 kilometrów rozciąga się piaszczyste płaskowzgórze, którego miasto to północną zajmuje krawędź. W tej właśnie miejscowości oficerowie francuscy wyprawiają polowanie na sokoły. Jako nemrod afrykański zasłynął przedewszystkiem porucznik Keck, który cieszył się zarazem opinią wybornego chirurga.

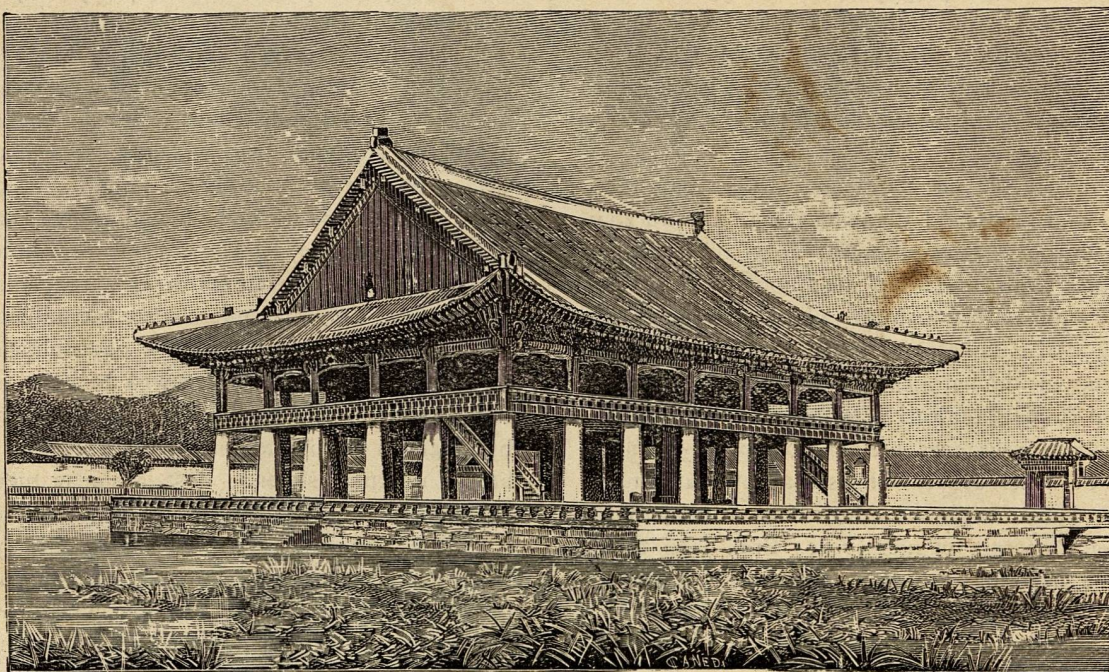
Pewnego razu spróbował on przeciąć grzebień koguci na dwie równe połowy. Operacja powiodła się wybornie, a kogut stał się przedmiotem podziwu wszystkich Beduinów. Po jakimś czasie pewien cudzoziemiec przejeżdżający tamtędy, ofiarował porucznikowi 500 franków, pragnąc, jak mówił, rozpowszechnić w Europie nieznaną ten gatunek. Ale sumienny porucznik od-

rzucił jego propozycję, mówiąc, iż tak lubi swego koguta, że za żadne skarby świata z nim się nie rozłączy. Dziś jeszcze szydzą w Gafsie z powodzenia fenomenalnego koguta, godnego towarzysza gęsi z Ghadamesu o trójkolorowych skrzydłach. Rzadki gatunek tych ostatnich zawdzięczał swe istnienie pewnemu farbiarzowi, bardzo biegłemu w swej sztuce i również wielu cudzoziemców wyprowadził w pole.

W Sidi-Aich wyjeżdżamy na rozległą płaszczyznę, przetrziętą rzeką Ued-Feriana. Rzeką tą, stosownie do arabskiego zwyczaju, bardzo często zmienia swoją nazwę. W pobliżu źródła zowie się Ued-Feriana, dalej

nieco Ued-Sidi-Aich, po za Gafsą, Ued-Bajach, przed ujściem zaś do jeziora Szot-el-Rharsa przybiera miano Ued-Tarfani.

Śniadanie spożywamy na zwaliskach starożytnej Gemelli. Ziemia jest ta literalnie zasypaną odłamami naczyń, grobowymi płytami i szczątkami rozmaitego rodzaju. Widać też ślady wodociągu i dwóch wież, zrównanych niemal z ziemią. W pobliżu wznosi się parę olbrzymich grobowców, które, jak się zdaje, nadały nazwę tej miejscowości. Jeden z nich zawiera zwłoki jakiegoś Juniusa Rogatusa, drugi Juliusza Rogatusa i żony jego Pomponii Wiktoryi. Dziś te pomniki próżności ludzkiej służą za drogowskazy dla podróżnych,



Dom korejski; podług fotografii.

na miejscu zaś dawnego pałacu Rogatusów pasą się nędzne beduińskie trzody.

Dwie studnie na 6 metrów głębokie i ocembrowane kamieniem, dostarczają wyśmienitej wody, góry zaś sąsiednie obfitują w alfę. Cała ta okolica, leżąca odłogiem, była niegdyś jednym z najżyźniejszych, najzdrowszych i najbardziej zaludnionych zakątków Bizancji, a nawet rzymscy magnaci zakładali tam swe wille, ogrody i grobowce.

Niebawem dojeżdżamy do Medkides, gdzie oddział żołnierzy zajęty jest właśnie niszczeniem jaj szarańcy. Arabowie, których ten owad jest ulubionym przysmakiem, niezbyt przychylnem okiem patrzą na tę manipulację. Chcąc się wreszcie zemścić na niegodziwych *rumi* i zmusić ich brakiem wody do opuszczenia stanowiska, jeden z Arabów przecina ukradkiem sznur od pobliskiej

studni, poczem wiadro natychmiast w bezdenną wpada otchłań.

Należy bowiem wiedzieć, że pomimo zewnętrznych oznak szacunku, muzułmanie znoszą z trudnością obecność Francuzów w swym kraju i żywią ciągle nadzieję pozbycia się ich kiedyś. Tymczasem starają się o ile możliwości paraliżować wszelką działalność władz francuskich i w tym celu z początku przecinali druty telegraficzne, teraz zaś nie chcą sprzedać cudzoziemcom ani kawałka gruntu. Pewnego dnia nawet wszystkie słupy drogowe pomiędzy Ferianą a Gafsą zostały zniszczone przez Arabów, chcących odebrać w ten sposób nienawistnym *rumi* wszelką możliwość oryentowania się w obcym dla siebie kraju.

Po piaszczystej drodze powóz nasz posuwał się powoli, tak, że noc zaskoczyła nas w drodze. Turkotowi

starego powozu wtórują z oddali wycia hyen, pisk szakali i szczekanie psów. Wreszcie ku wielkiej swej radości spostrzegamy ognie gafszańskich domów. Przejeżdżamy całą dzielnicę żydowską, plac i skwery wojskowe, po za którymi rysują się na ciemnym tle nocy olbrzymie kontury Kasby. Tam spotykają nas oficerowie i powitawszy serdecznie, wiedą do pałacu komendanta, który nie mniej serdeczną ofiaruje nam gościnność. Pałac arabski służący mu za mieszkanie, jest dość skromny, ale rości pretensję do rezydencji magnackiej, czego każe się domyślać rozległe maurytańskie *patio*, czyli dziedziniec, jak również wyniosły taras, z którego na miasto i oazę prześliczny rozciąga się widok.

W chwili mojego przybycia do Gafsy, miasto to posiadało dwóch Ojców Białych, a mianowicie Ojców Hamard'a Coquezel'a i Brata Optat'a. Mieszkają oni w małym domku w samym środku miasta i jeden z nich spełnia obowiązki proboszcza, drugi zaś wojskowego kapelana.

Zdaje mi się, że jak jeden tak i drugi, mają mnóstwo trudności i przeszkód do zwalczania. Kaplica znajduje się w obozie o dziesięć minut drogi od ich mieszkania. Od Kairuanu nie tylko nie mogłem odprawiać Mszy świętej, ale nawet żadnego chrześcijańskiego nie widziałem godła. Zdawało mi się też, że odżył, gdy wszedłem znowu do katolickiej świątyni, aby paść na kolana przed Bogiem utajonym w Przenajśw. Sakramencie. Trzeba być przez czas niejaki pozbawionym sakramentalnej obecności Jezusa Chrystusa, aby zrozumieć i uczuć, jak ważne miejsce zajmuje On w naszym życiu, jak wielką spełnia w nim rolę. Brak Jego to dla serca kapłana okropna próżnia, niczem nie dająca się wypełnić.

O. Coquerel utrzymuje niewielką szkołkę, do której kilkoro dzieci uczęszcza na naukę. Parafia katolicka dotąd nie istnieje i sądzę, że jej utworzenie będzie połączonym z niezliczonymi trudnościami.

Po wyjeździe mym z Gafsy, kardynał Lavigerie, jak się dowiedziałem, zwinął tam swój posterunek, obu zaś Ojców Białych przeniósł do Dżerby, liczącej 800 katolików, którzy z radością powitali ich u siebie.

Gafsa jest miastem bardzo starożytnym. W dziele swem pod tytułem: *Wojna z Jugurtą*, Salustyusz wyraża się o niej w następujący sposób: »W pośród rozległej pustyni wznosi się wielkie i potężne miasto, którego założenie przypisują ogólnie Herkulesowi Libijskiemu. Dokoła tego grodu rozciąga się płaszczyna naga i jałowa, obfitująca w węże, które brak żywności i wody, wraz z nadmiernym upałem, rozdrażniają do najwyższego stopnia«.

Ze swej strony historyk Florus pisze o Gafsie w następujący sposób:

»Miasto założone przez Herkulesa w pośrodku Afryki, bronione jest przez węże i nieprzebyte piaski«.

Opis podany przez obu tych dziejopisarzy, dziś jeszcze najzupełniej jest prawdziwy. Tysiące rozmaitych płazów wylęgają się w piaskach nad brzegiem rzeki i w pustyni otaczającej oazę. Gafsa zbudowana pomiędzy Dżebel-Junes i Dżebel Orbata, służy za punkt styczny dla czterech równin, z których jedna ciągnie się do Feriany, druga do głębi kraju, trzecia do odnogi Gabes, a czwarta do Tozeur, krainy daktyli. Jest to punkt najważniejszy w całej Afryce północnej, stanowiący jakby wrota do niezmierzonej Sahary. Przecinają się w nim drogi ze Sfaksu, Sbejtli, Feriany, Tozeueru i Gabesu, strategiczne zaś jego znaczenie nie uszło już uwagi pierwszych kolonizatorów. Pierwszy Jugurta wybrał Gafkę na posterunek wojenny i przechowywał w niej swoje skarby.

Na 107 lat przed Chrystusem, Maryusz starał się podbić to miasto, słynna zaś jego wyprawa dostarczyła hrabiemu du Paty de Clam treści do znakomitego studium. Ze studium tego widzimy, że armia rzymskiego wodza wyruszywszy z okolic Thigi-babu, na dziewiąty dzień rano dotarła do zachodniego krańca Dżebel-Orbata, gdzie się znajduje El Ksar, czyli przedmieście Gafsy. Maryusz ukrywa swych żołnierzy w rozpadlinach gruntu i korzystając z tego, że mieszkańcy zatrudnieni są w ogrodzie, posuwa swą jazdę wraz z najdzielniejszą piechotą aż do rzeki Ued Baja. Ponieważ łożysko tej rzeki wyschło, wojsko więc przebywa je z łatwością, aby zdobyć bramy i warownię miasta. Wszyscy jego mieszkańcy, którzy uniknęli śmierci, dostają się w niewolę, Gafsa zaś zamienia się w zgłiszczę i kupę popiołów.

Wspomnienie krwawej tej wyprawy wyrobiło w Numedyjczykach przekonanie, że Maryusz był nadludzką istotą. Dziś jeszcze improwizatorowie arabscy opowiadają o walce stoczonej przez Iskandera Dul-Kurneina z Rumi-Marusem. Iskander zamknął wszystkie drogi, które wiodły do jego stolicy Gafsy. W pobliżu El Ajachu przewodnik pokazuje nam mury, wzniesione w tym celu w wawozach Khangat-Gubhar, gdzie widać jeszcze ślady wyłomów, dokonanych przez żołnierzy legendowego zdobywcy.

Pomimo swego spustoszenia ogniem i mieczem, Gafsa niebawem zaludniła się znowu i powstała ze swego upadku. Pliniusz zalicza ją do największych miast afrykańskich, za czasów zaś Hadryana została wyniesioną do godności municypium. Później nawet istniało tam biskupstwo, ale podczas najazdu Wandalów, ostatni biskup gafszański odniósł palmę męczeńską.

W średnich wiekach Gafsa wielkie posiadała znaczenie, handel zaś jej dochodził aż do Hiszpanii. Po zdobyciu tego miasta przez sułtana El Mansura w r. 583 hegiry, uległo ono ostatecznemu zniszczeniu, aby już więcej nie powstać z upadku. Jedna tylko Kasba ocalała od ogólnego spustoszenia i dotąd jeszcze pozostała nietkniętą. Jest to nader ciekawy okaz saraceńskiej for-

tęcy, której bastiony i wyżębione mury panują po nad miastem z wysokości 25 metrów. Zawiera ona liczne budynki, ogromne więzienia i dwa meczety, z których większy składa się z 19 naw o pięciu arkadach, z kolumnami i kapitelami starożytnego pochodzenia. Po za obrębem twierdzy istnieją liczne ślady rzymskiego panowania, a piękny łuk tryumfalny służy za miejską bramę.

Samo miasto składa się z nędznych lepianek z *tołu*, czyli cegieł z błota, wysuszonych na słońcu. Łatwo się

domyśleć, że domy te nie posiadają najmniejszej cechy jakiegokolwiek stylu, lub elegancji, co zresztą jest rzeczą bardzo naturalną, gdyż pod łagodnem i zawsze czystem afrykańskiem niebem, dom służy raczej za spichlerz i skład rupieci, niż za schronienie dla mieszkańców. Ci ostatni spędzają całe dnie i noce pod gołym niebem na słońcu, lub w cieniu palm i w głębi namiotu. Przeciętna temperatura wynosi 30 stopni.

Również jak mieszkanie, zbyteczną jest tam odzież,



Tunetania. — Cytadela w Gafsa; podług fotografii. (Zob. str. 16 i 17).

zredukowana do najbardziej pierwotnych wymagań. Kawał jakiegokolwiek tkaniny wystarcza najzupełniej, służąc stosownie do potrzeby za płaszcz, koszulę, chustkę i t. d., dzieci zaś nawet i bez tego się obywają.

Wogóle mieszkańcy Gafsy nie cieszyli się w starożytności zbyt korzystną opinią. »Gafsa jest nędzną dziurą, głosi pewna piosnka arabska, mieszkańców ma nudnych i posępnych, wśród których można przeżyć lat sto, nie zyskawszy sobie ani jednego przyjaciela. Woda jej — to krew, powietrze — to trucizna«.

Pogarda, z jaką piosnka arabska o obywatelach Gafsy się wyraża, ma może źródło w przywiązaniu do dawnych tradycji i zwyczajów, którego niejednokrotnie

składali dowody. Z początku aż do śmierci Jugurty, służyli wiernie jego stronnictwu, później przez czas długi trzymali się niezachwianie katolickiej wiary i oparli się arabskiemu wpływowi, przechowali swój język i zwyczaje. Należy też przyznać, że pierwsi zdobywcy nie niszczyli chrześcijańskich świątyń w południowej części Bizacenii, ale poprzestawali na budowaniu obok nich meczetów. W XII wieku jeszcze mieszkańcy Gafsy mówili ze sobą po łacinie, dopiero później zaczęli stopniowo przyjmować język arabski. (C. d. n.).

Okolice nowego Seminarium w Kandy na Cejlonie.

«Kolombo, główny port i stolicę Cejlonu, czytamy w jednym z listów O. Grosjean'a, łączy linia kolei żelaznej z sąsiednim miastem Kandy, leżącym w górach, w samym niemal środku wyspy. Przestrzeń pomiędzy dwoma miastami wynosi 74 mile angielskie i przebywa się w przeciągu czterech godzin. Okolice są prześliczne. Na połowie drogi grunt stopniowo zaczyna się podnosić i przed oczyma zdumionego podróżnika przepyszny rozciąga się krajobraz. Płaskowzgórza kandyjskie wznosi się o 1600 stóp nad poziomem morza, powietrze zaś na tych wyżynach jest tak czyste i orzeźwiające, że świeżość jego i czystość zdaje się jeszcze dodawać powabu wszystkim pięknościom przyrody. Miasto Kandy liczy 20.000 mieszkańców, a między nimi 2000 katolików i chociaż leży w zwrotnikowej strefie, gdzie słońce nie źle dopieka, nigdy jednak zbyt wielkie nie panują tam upały.

Powierzchnia Cejlonu zawiera 25.700 mil kwadrat. angielskich, czyli 64.000 kilometrów kwadrat., to jest mniej więcej tyle, ile wynosi powierzchnia Belgii i Holandii. Całe to terytorium zostało podzielone na trzy dyecezye, które od dnia 6 stycznia 1887 r. tworzą jedną prowincję kościelną. Stolica metropolitalna mieści się w Kolombo, rezydencya zaś dwóch biskupów sufragánów w Kandy i Dżaffnapatamie. Kolombo i Dżaffnapatam należą do Oblatów Niepokalanego Poczęcia; Kandy, do Benedyktynów włoskich.

«Najrozleglejszą jest dyecezya Dżaffna, leżąca na północy i zawierająca około 13.900 mil kwadrat. powierzchni, to jest prawie tyle, ile wynosi powierzchnia całej Holandii. Cyfra ludności, złożonej prawie wyłącznie z Tamulów, dochodzi zaledwie do 863.000 osób. Podług urzędowej statystyki z r. 1891 przeszło dziesiąta część całej ludności, a mianowicie 88.237 krajowców, jest katolicką. Od strony południowej na terytorium zawierającym około 5400 mil kwadrat., rozciąga się archidyecezya Kolombo, której ludność podług ostatniego spisu wynosi 1.484.000 osób, a między nimi 136.782 katolików. Wreszcie dyecezya Kandy, leżąca pośrodku, zawiera 6048 mil kwadrat. i 633.000 mieszkańców, w ich zaś liczbie 21.135 katolików. Wogóle cała ludność Cejlonu składa się z 3.000.000 osób, cyfra zaś katolików na tej wyspie dochodzi do 246.000.

«Miejscowy język syngalski jest sanskryckiego pochodzenia i posiada nader liczne cechy podobieństwa do języków używanych w północnej części Indyj wschodnich. Niema w tem zresztą nic dziwnego, gdyż podług tradycji przechowywanej przez wyspiarzy, przodkowie ich przybyli do Cejlonu ze wschodnich brzegów Gangesu.

«Wprowadzenie katolicyzmu na tę wyspę sięga

czasów św. Franciszka Ksawerego, chociaż wielki Apostoł indyjski, jak sam opowiada w swych listach, był tam zaledwie raz, czy parę razy, duchowną zaś pieczę nad chrześcijanami objęli Franciszkanie i kapłani świeccy. Dopóki wybrzeże syngalskie pozostawało w ręku Portugalczyków, dopóty religia katolicka znaczne tam czyniła postępy, ale w r. 1658 Holendrzy zwyciężywszy swych rywalów, zaczęli prześladować katolików, oraz wydalać księży, Wówczas też całe rodziny katolickie powróciły znowu do buddaizmu i ztąd właśnie pochodzi fakt, że dzisiaj jeszcze w Kandy i innych miejscowościach można nader często napotkać buddystów, noszących portugalskie nazwisko i chrześcijańskie imię. Zwykle bowiem dawni misyonarze nadawali swym neofitom portugalskie imiona i nazwiska, które we wszystkich zakątkach wyspy dotychczas się przechowały.

W innem miejscu O. Grosjean mówiąc o Kandy i katolickich jego mieszkańcach, podaje kilka szczegółów, pozwalających zrozumieć, dlaczego Cejlon został wybrany na siedlisko seminarium papieskiego. Między innemi czytamy tam, co następuje:

«X. Pagnani O. S. B., biskup Kandy, wykształcony w kolegium rzymskiem, odznacza się wielką gorliwością w spełnianiu obowiązków wysokiego swego stanowiska. W ostatnich czasach wyświęcił on na kapłanów ośmiu bardzo inteligentnych młodych Syngalczyków, którzy odbyli już nowicyat w klasztorze Benedyktynów, teraz zaś słuchają wykładów filozofii i teologii. Kierunek ich studyów objął sam X. biskup Pagnani, który dotychczas niema pałacu biskupiego, ale mieszka w klasztorze Benedyktynów, dając tam wzniosły przykład uległości względem wszystkich przepisów zakonnego życia. Cały prawie personal klasztorny składa się z Syngalezów.

«Oprócz nowicyatu benedyktyńskiego, X. biskup Pagnani założył o kilka mil od Kandy syngalski klasztor Trapistów, gdzie reguła tego zakonu ściśle jest przestrzegana.

«Niegdyś krajowcy cejlońscy dostarczyli następcom św. Franciszka Ksawerego nader licznych neofitów, którzy w przeciągu całego przeszłego wieku znosili prześladowanie ze strony holenderskich kalwinistów. Syngalezi daleko bardziej od innych ras indyjskich ulegli europejskiemu wpływowi. Że Chrystyanizm głębokie zapuścił tam korzenie, o tem między innemi świadczy niezmierna łatwość, z jaką mieszkańcy Cejlonu naginają się do obowiązków kapłańskiego lub zakonnego życia. Dlatego też można się spodziewać, że ten właśnie zakątek Indyj wyda najlepszych kapłanów i zakonników. W ubiegłym stuleciu, jedynie dzięki gorliwości zakonników krajowców, wiara święta na tej wyspie zdołała się utrzymać.

«Większa część krajowców akatolików należy do buddystów, których cyfra wynosi przeszło półtora miliona. I tu podobnie jak w Tybecie lub Birmanii, mężkie

buddyjskie klasztory wszędzie się napotykają. Na każdej ulicy Kandy można widzieć niemal co chwilę mnichów buddyjskich ubranych w szaty koloru żółtego, o parę zaś kroków dalej ich uczniów również w żółtym ubiorze.

»Ponieważ tutejsi poganie z łatwością dają się nawracać, przyszli więc kandydaci do stanu kapłańskiego będą mogli w pobliżu seminaryum zaprawiać się do apostołskiej pracy. Od początku r. 1892 X. Arcybiskup Zaleski zaczął sam pracować jako misjonarz, w kilka zaś miesięcy później nawrócił i ochrzcił 50 przeszło osób, a nadto każdego dnia około 30 dzieci przychodziło do niego na lekcje katechizmu«.

Mówiąc o miejscowości wybranej przez X. Arcybiskupa Zaleskiego na budowę seminaryum, O. Grosjean w następujący wyraża się sposób:

»Położenie tego miejsca jest wyborne i nic pod każdym względem nie pozostawia do życzenia. Przyszłe seminaryum będzie się wznosiło na wschód od Kandy, na niewielkim wzgórzu porośniętem drzewami, z kądem się roztacza przepyszny widok na miasto, jezioro i malownicze brzegi największej rzeki na Cejlonie Mahawelli-Ganga. Ostatnie domy miasta Kandy dochodzą aż do podnóża wzgórka. Zdaje się, iż terytoryum powyższe posiada wszelkie pożądane warunki, graniczy z niem kilka wiosek, których ludność wydaje się bardzo sympatyczną i które będą stanowiły pierwsze pole apostołskiej pracy dla przyszłych seminarzystów«.

Dnia 3 stycznia 1893 r. tenże sam Ojciec pisał, co następuje: »Negocyacye co do nabycia gruntu zbliżają się już ku końcowi. Terytoryum jest dość rozległe, chodzi bowiem o to, aby mózdz zapewnić przyszłemu seminaryum wszelkie możliwe wygody.

»Na sąsiednim wzgórzu w pobliżu własnego domu JE. X. Delegat apostolski wynajął na lat parę obszerny budynek, który będzie tymczasem służył za seminaryum. »O ile mi się zdaje, klimat Kandy wiele korzystnych przedstawia warunków, bo chociaż często padają tam deszcze, nigdy jednak ani wilgoć, ani zimno zbyt znacznie nie dają się uczuwać. Przeciętna temperatura w mieszkaniu wynosi przez rok cały od 19 do 24° Cels. Od chwili mego przybycia nie spotkałem jeszcze ani jednej osoby dotkniętej suchotami, astmą lub inną podobną chorobą.

»W obecnej chwili X. Arcybiskup Zaleski przygotowuje pewną ilość krajowców do przyjęcia Chrztu św., którego zamierza im udzielić dnia 19 lutego, w uroczystość biskupiego jubileuszu Papieża Leona XIII. Jego Ekscelencyja pragnie również przesłać Ojcu św. fotografię swoich neofitów«. (Grupę tę zamieściliśmy w r. 1892, zob. *Missye katolickie*, T. XI str. 209).

Wreszcie ostatni list wysłany z Kandy dnia 15 sierpnia 1893 r. podaje trochę ciekawych szczegółów, dotyczących seminaryum.

»Cyfra seminarzystów, pisze O. Grosjean, nieco

się zwiększyła, gdyż obecnie jedenastu mieszka stale w seminaryum, a pięciu młodych syngalskich Benedyktynów spędza tam dni całe. X. van den Bosch O. C., Arcybiskup Agry, zapowiedział nam przyjazd czterech alumnów, a nadto niebawem przybędzie tyluż z Trichinopoly, oraz po jednym z Werapoly, Quilonu, Kochinu i Kolombo. Zbieg okoliczności zmusił nas do przyjęcia kilku młodzieńców nie umiejących jeszcze po łacinie, pewien więc starszy seminarzysta udziela im lekcyj tego języka. Ja zaś codziennie zadaję pytania. Łatwo się domyślać, że na zajęciach wcale nam nie zbywa, szczęściem jednak w wielu rzeczach dopomagają nam sami uczniowie, tak, że chociaż z trudnością, jednak możemy wywiązać się sumiennie z naszego zadania.

»Na całym terytoryum seminaryjnym gorliwą rozpoczęto już pracę; tu niwelują grunt, lub oczyszczają go z gruzów, tam ciosają kamienie do przyszłej budowy lub karczują krzaki i trzcinę, na samej granicy naszej posiadłości budują niewielki domek, torują ścieżki we wszystkich kierunkach, za kilka zaś dni rozpoczniemy budowę drogi długiej na 800 metrów i wiodącej do Ampityi. JE. X. Delegat apostolski kieruje sam urządzaniem ogrodu, leżącego w jednej z najpiękniejszych miejscowości, jakie kiedykolwiek zdarzyło mi się widzieć. Co do mnie, to każdego rana przed lekcjami, jak również codziennie popołudniu przebiegam całą posiadłość, aby się przekonać, czy nasze rozkazy są dobrze wykonywane...¹⁾.

Encyklika Ojca św. Leona XIII do Biskupów w Indjach.

Czcigodnym Naszym Braciom, Patriarchom, Prymasom, Arcybiskupom, Biskupom i innym ordynaryuszom miejsc, pozostających w zgodzie i jedności ze Stolicą Apostolską.

LEON XIII, PAPIEŻ.

Czcigodnym Braciom pozdrowienia i błogosławieństwo Apostolskie.

Od samego początku Naszego pontyfikatu, myśl Nasza zwracała się do dalekich krain wschodnich, zbędnych tak szczęśliwie i śmiało przez Portugalczyków i nęcących tylu ludzi perspektywą pomyślnego handlu, w widokach wyższego duchowego dobra.

Istotnie mamy ciągle na myśli i gorącą miłością kochamy niezmierzone Indye, gdzie od tylu wieków pracowali w pocie czoła niezmordowani mężowie apostołscy. Przedewszystkiem przypomina Nam się postać św. Tomasza apostoła, uchodzącego słusznie za pierw-

¹⁾ Zob. *Precis Historiques*, Nr. 11, Novembre 1893.

szego opowiadacza Ewangelii w Indjach wschodnich. Później widzimy tam św. Franciszka Ksawerego, który nierychło potem poświęcił się temu chwalebnemu zadaniu i za pomocą prawdziwych cudów wytrwałości, oraz miłości, zdołał wyrzeć całe setki tysięcy Indyan z ciemności błędnej i nieczystej religii braminów, aby na prawdziwą nawrócić ich wiarę.

W ślady świętego tego bohatera, za pozwoleniem i z polecenia Stolicy Apostolskiej, wstąpiło wielu zakonników i kapłanów świeckich, pracując gorliwie jak dawniej, tak i dziś jeszcze, nad utrzymaniem i rozkrzewieniem tajemnic i zasad chrześcijańskich, przyniesionych przez św. Tomasza, a wskrzeszonych przez św. Franciszka Ksawerego. Bądź co bądź jednak, w rozległych tych krainach istnieją jeszcze całe tłumy ludzi, oddalonych od światła prawdy i pograżonych w ciemnościach nędznego zabobonu. Jakież więc rozległe pole pracy przedstawia ta kraina, a zwłaszcza część jej północna, gdzie dotąd nie zdziałano nic jeszcze w celu przygotowania gruntu do przyjęcia ewangelicznego ziarna.

Zastanawiając się nad tym stanem rzeczy, pokładamy bez wątpienia największą ufność w dobroci i miłosierdziu Boga, naszego Zbawiciela, który sam tylko zna najlepiej okoliczności i chwilę najodpowiedniejszą do zesłania promyka swego światła i który za pomocą tajemnego prądu, pochodzącego z niebios, wiedzie umysły ludzkie na drogę do zbawienia. Zarazem jednak pragniemy i powinniśmy o ile możliwości pracować nad tem, aby ogromna ta część świata odniosła jakąkolwiek korzyść z Naszej o nią pieczy.

W tym celu po dokładnem zbadaniu środków, za pomocą których możnaby rozwinąć i zorganizować lepiej wszystko to, co się dotyczy religii chrześcijańskiej w Indjach wschodnich, zdołaliśmy wprowadzić rozmaite czynniki, odpowiednie dla dobra katolickiego Kościoła.

Przedewszystkiem ze względu na patronat portugalskiego narodu w Indjach wschodnich, zawarliśmy konkordat z najwierniejszym monarchą Portugalii i Algarwii. Dzięki temu poważne nieporozumienia, które przez czas tak długi zakłócały spokój w umysłach chrześcijan, znikły wraz z przyczyną, jaka je wywoływała. — Wreszcie uznaliśmy za właściwe zamienić

chrześcijańskie gminy, które ulegały poprzednio wika-ryuszom i prefektom apostolskim, na prawdziwe dyecezye, mające swych biskupów i zwykłym rządzone trybem. Dlatego też apostolskim Naszym listem *Humanae salutis* z dnia 1 września 1886 r., ustanowiliśmy nową hierarchię w tych krainach, zakładając zarazem ośm prowincyj kościelnych, a mianowicie: Goa, do której został przywiązany honorowy tytuł patriarchatu Agra, Bombaj, Werapoly, Kalkutę, Madras, Pondichéry i Kolombo. Wreszcie za pośrednictwem świętej Naszej Kongregacji Propagandy, staraliśmy się dostarczać ciągle tej krainie wszystkiego, cośmy uznali za pożyteczne dla rozwoju pobożności i wiary.

Pozostaje jednak pewna kwestya, od której zbawienie Indyj w znacznej zależy części i na którą chcielibyśmy czcigodni Bracia zwrócić uwagę waszą i wszystkich osób, miłujących ludzkość i chrześcijaństwo. Oto przyszłość wiary chrześcijańskiej w Indjach dopóty nie zostanie utrwaloną i rozkrzewianą jej dopóty nie zdo-

będzie rękoi mi powodzenia, dopóki się nie utworzy duchowieństwo złożone wyłącznie z krajowców, dostatecznie uzdolnionych do spełniania obowiązków kapłańskich, którzy nie tylko mogliby służyć za pomocników księżom przybyłym z zagranicy, ale nawet sami byliby w stanie piastować należycie godność pasterską w swojej ojczyźnie.

Tradycja głosi, że myśl tę powziął już św. Franciszek Ksawery, który mawiał niekiedy, iż religia chře-



Tunetania. — Młodzieńcy arabscy przed bramą Sidi-Talilu w Ferianie. (Zob. str. 14).

ścijańska nie zdoła utrwalić się w Indyach bez ciągłej pracy pobożnych i gorliwych kapłanów krajowców. Łatwo zrozumieć, jak słusznym i trafnym był ten wniosek.

Rzeczywiście działalność apostołskich pracowników przybyłych z Europy, wiele tam napotyka przeszkód, a mianowicie nieznamość miejscowego języka, który z trudnością daje się przyswoić, jak również odrębność obyczajów i zwyczajów, do których niekiedy nawet po wielu latach niepodobna się przyzwyczaić, tak, że duchowieństwo europejskie czuje się tam zawsze jakby na obczyźnie. Ponieważ zaś lud z trudnością zdoła powziąć zaufanie do cudzoziemców, widoczną więc jest rzeczą, iż działalność kapłanów krajowców daleko lepszy uwieńczyłby wynik. Znają oni z doświadczenia upodobania, charakter i obyczaje swego narodu, wiedzą kiedy wypada mówić, a kiedy milczeć, a wreszcie jako tubylcy nie wzbudzają nieufności w swoich rodakach. Zbytecznem byłoby mówić, jak ważne to są warunki, zwłaszcza w tak krytycznych, jak obecne, czasach.

Zasługuje też na uwagę, że ilość misyjnarzy przysyłanych z zagranicy, nie jest dostateczną dla za-

spokojenia wszystkich potrzeb gmin chrześcijańskich, istniejących w obecnej chwili. Świadczy o tem wymownie statystyka misyjna, najlepszym zaś dowodem takiego braku kapłanów jest fakt,

że misye indyjskie nie przestają prosić i błagać świętą Kongregację Propagandy o przysłanie im nowych opowiadaczy Ewangelii.

Otóż jeżeli w chwili obecnej ilość kapłanów cudzoziemców nie wystarcza na zaspokojenie duchownych potrzeb chrześcijan krajowców, to cóż stanie się w przyszłości, gdy się cyfra wiernych bardziej jeszcze zwiększy? Nie podobna bowiem się spodziewać, aby w miarę wzrostu chrześcijańskiej ludności, wzrastał też kontyngens kapłanów wysyłanych z Europy.

Chcąc się przeto przyczynić do zbawienia Indyan i religię chrześcijańską w rozległej tej krainie na trwałych opręć podstawach, należy wybrać krajowców którzy po starannem przygotowaniu mogliby spełniać obo-

wiązki kapłańskie. Nie należy też zapominać tego, co podług ogólnego mniemania jest wprawdzie niezbyt prawdopodobnem, ale bądź co bądź możliwem, a mianowicie, że w Europie lub Azji mogą zająć wypadki, z powodu których księża cudzoziemcy byłiby zmuszeni



Tunetania. — Jedna z ulic oazy Gafsa; podług fotografii. (Zob. str. i6).

opuścić Indye. Jakżeby w takim razie zdołała utrzymać się religia, gdyby skutkiem braku miejscowego duchowieństwa nie znalazł się w całym kraju ani jeden kapłan, mogący rozkrzewiać chrześcijańską naukę i udzielać Sakramentów świętych.

Dzieje Chińczyków, Japończyków i Etyopów odpowiadają wyraźnie na to pytanie. Niejednokrotnie u Japończyków i Chińczyków, gdy chrześcijanie stawali się ofiarą nienawiści i prześladowania, nieprzyjacieli, który mordował albo wydalał kapłanów cudzoziemskich, oszczędzał jednak krajowców. Ci więc, którzy znali dokładnie język i zwyczaje swego kraju, oraz cieszyli się poparciem ze strony krewnych i przyjaciół, nie tylko bezkarnie mogli pozostać w ojczyźnie, ale nawet wykonywać swobodnie we wszystkich prowincjach obowiązki świętego swego powołania.

Przeciwnie, w Etyopii, gdzie chociaż liczono 200.000 chrześcijan, ale nie było jeszcze kapłanów krajowców, prąd prześladowczy po wymordowaniu lub wygnaniu zagranicznych misjonarzy, zniweczył wszystkie owoce długiej i gorliwej pracy.

Wreszcie należy sięgnąć do starożytności i znalazłszy w tej epoce coś pożytecznego, starannie to zachować. Otóż jak wiemy, Apostołowie w wykonywaniu swego posłannictwa, trzymali się zasady, aby najprzód wpajać całemu ludowi zasady Chrystyanizmu, później zaś wybrać z jego łona ludzi odpowiednich do przyjęcia święceń kapłańskich, i którzy następnie byli wyniesieni do godności biskupów. Wierni tej tradycji Papieże rzymscy zalecali zawsze apostołskim pracownikom, aby wszędzie, gdzie istniały chrześcijańskie gminy, dokładali wszelkich usiłowań w celu wykształcenia duchowieństwa, wyłącznie z krajowców zrekrutowanego.

Dla utrzymania więc i postępu wiary katolickiej w Indyach, należy przede wszystkim wyświęcić na kapłanów pewną ilość samychże Hindusów, którzyby w jakichkolwiek okolicznościach mogli spełniać z łatwością obowiązki swego powołania i rozciągnąć pieczę nad duszami rodaków swych, chrześcijan.

Dlatego też z inicjatywy Stolicy Apostolskiej, przełożeni misyj indyjskich zakładali wszędzie, gdzie tylko zdołali, kollegia, mające na celu wychowywanie duchownych. Co więcej, na koncyliach, zwołanych na początku 1887 r. w Kolombo, Bangalorze i Allahabadzie uchwalono, że każda dyecezya powinna mieć seminaryum, w któremby się krajowcy kształcili na kapłanów.

Gdyby zaś jaki biskup sufragany nie mógł go założyć z powodu braku środków, to powinien własnym kosztem utrzymywać w seminaryum metropolitalnem alumnów ze swej dyecezyi.

Rzeczywiście biskupi usiłują o ile możności zastosować w praktyce pożyteczne te uchwały, ale dobre ich chęci napotykają w braku środków materialnych, oraz kapłanów zdolnych kierować wykładami teologicznymi,

trudną do zwalczenia przeszkodę. Rzec nawet można, że niema dotąd ani jednego seminaryum, w któremby program nauk nie pozostawił wiele do życzenia, co tem bardziej jest smutnem, iż władze cywilne, oraz liczni protestanci nie szczczędzą kosztów i trudów w celu udzielania młodzieży starannego i wszechstronnego wykształcenia. Widzimy więc, jak ważną i niezbędną dla dobra publicznego rzeczą, jest założenie w Indyach Wschodnich kollegiów, w którychby dzieci krajowców, wzrastając na chwałę Kościoła, kształciły się we wszystkich gałęziach wiedzy, a zarazem nabywały cnót niezbędnych do świętobliwego i pożytecznego wykonywania obowiązków kapłańskiego stanu.

Po usunięciu mocą konkordatu wszelkich źródeł nieporozumienia, tudzież zorganizowaniu hierarchii kościelnej w celu rządzenia dyecezyami, pragniemy uwieńczyć nasze dzieło, zakładając trwałe podwaliny do wykształcenia przyszłego duchowieństwa. Jesteśmy bowiem przekonani, że skoro tylko seminarya zostaną założone, to niebawem wyjdzie z nich liczne grono zdolnych i gorliwych kapłanów, którzy zaczną rozkrzewiać światło pobożności i wiary, oraz nie zaniedbają użyć żadnego środka, mogącego się przyczynić do rozpowszechnienia prawdy ewangelicznej.

Tak szlachetne i zbawienne dzieło zasługuje na gorące poparcie ze strony Europejczyków, tem bardziej, że my sami nie jesteśmy w stanie pokryć wszystkich niezbędnych w tym względzie kosztów. Obowiązkiem chrześcijan jest poczytywać wszystkich ludzi za braci, bez względu na to, gdzie mieszkają i nie odmawiać nikomu swojego wsparcia, zwłaszcza wówczas, gdy chodzi o wieczne zbawienie bliźniego.

Dlatego też prosimy was usilnie, czcigodni Bracia, abyście, o ile sił starczy, popierali nasze zamiary i usiłowania. Dajcie poznać stanowisko religii katolickiej w odległych tych krainach, starajcie się nakłonić lud do działania czegokolwiek dla dobra Indyan, przede wszystkim zaś dokładajcie starań w celu zjednania współczucia dla nich u tych, którzy mniemają słusznie, iż najlepszym użytkiem z pieniędzy jest poświęcenie ich na dobroczynne cele.

Jesteśmy przekonani, że nie napróżno się odwołujemy do wspaniałomyślności waszych ludów, gdyby zaś jałmużny przewyższały kwotę, potrzebną do założenia powyższych seminaryów, to będziemy czuwać nad tem, aby ta nadwyżka użytą została w sposób również pobożny i pożyteczny.

Jako rękojmiej darów niebieskich i dowód ojcowskiej naszej miłości przesyłamy wam, czcigodni Bracia, oraz waszemu duchowieństwu i całemu ludowi apostołskie błogosławieństwo.

Dan w Rzymie u świętego Piotra dnia 24 czerwca 1893 r., w szesnastym roku naszego pontyfikatu.

Leon XIII, Papież.

LISTY Z BENGALU.

Ranchi dnia 23 kwietnia 1893 r.

Dnia 1 lutego roku zeszłego O. Adessi podał kilka obszer-nych i dokładnych szczegółów o *derze*, czyli gospodzie w Ranchi. Ponieważ zaś powierzono mi również apostolskie prace w dobroczynnym tym zakładzie, pragnę więc z kolei poświęcić słów kilka działalności, odbywającej się w jego obrębie.

Dera jest to prosty budynek na 45 stóp (15 metrów) długi i na 15 stóp (5 metrów) szeroki, pokryty dachówką, czysty i posiadający dobrą wentylację. W porównaniu do niskich i ciemnych chałup krajowców, budynek ten zasługuje na nazwę pałacu. Całe jego umeblowanie stanowi kilka niewielkich stosów cegieł, na których krajowcy ustawiają garnki dla ugotowania obiadu, jak również kilkanaście mat, uplecionych z miękkich liści daktylowych i służących biedakom do siedzenia lub spania. Najczęściej jednak w przeciągu dnia całego leżą one zwinięte w kącie. W pobliżu *dery* zbudowaliśmy także niewielki *godown* czyli lamus, w którym się przechowują ruchomości, należące do naszej gospody, to jest maty, naczynia gliniane i fotel dla misjonarza. W razie jakiegś niebezpiecznej i zaraźliwej choroby, lamus ten służy niekiedy zamiast szpitala. W danej chwili jesteśmy zajęci wierceniem studni dla *dery*, a nawet na ten cel otrzymaliśmy pewien zasiłek pieniężny za pośrednictwem O. Lievens'a. Chociaż studnia ma już przeszło 30 stóp (10 metrów) głębokości, dotąd jednak bardzo mało wydobywa się wody, tyle tylko, że możemy się spodziewać, iż praca ta nie będzie daremną. Bądź co bądź, wiercenie staje się coraz trudniejszym, gdyż robotnicy mają do czynienia z pewnym gatunkiem nader twardego łupku.

Jeżeli zechcemy mieć prawdziwie dobrą studnię, to będziemy musieli kopać przynajmniej do głębokości 60 stóp (20 metrów). Jedyna dobra studnia w całym Ranchi (czytaj Ranczy) jest na 63 stopy (21 metrów) głęboka.

Jałmużna, którąśmy otrzymali, nie wystarczy na wykończenie tej pracy, nie wątpię jednak, że jakiś datek nadzwyczajny pozwoli nam dopełnić tak pożytecznego dzieła. Ten, kto nigdy nie podróżował w kraju tak gorącym jak Indye wschodnie, a zwłaszcza w miejscowości tak dzikiej, jak Chota Nagpore, nie może nawet mieć wyobrażenia o tem, jaką wartość posiada odrobina dobrej i zimnej, przezroczystej wody.

W przeciągu całego lutego, od chwili, w której zaczęliśmy utrzymywać dokładne rejestra osób przybywających do Ranczy i wiosek, z jakich pochodzą, mieliśmy codziennie w *derze* przynajmniej 48 biednych podróżnych.

W ubiegłym miesiącu, aż do dnia 20 kwietnia, przeciętna ich cyfra wynosiła 95 osób dziennie; w ostatnich zaś dniach mieliśmy od 140—150 przybyszów. Na szczęście obecnie jest tak sucho i ciepło, że goście nasi mogą wybornie obozować pod drzewami. Wzdłuż muru stanowiącego granicę terytorium *dery*, ciągnie się przepyszna aleja z drzew mangowych, udzielająca naszym podróżnym nader milego cienia. Przeglądając w rejestrach *dery* nazwy wsi, z których pochodzą przybysze, spostrzegłem, że w ostatnich czasach napływali do nas chrześcijanie ze wszystkich zakątków misyi w Chota Nagpore. Obecnie większej części improwizowanych naszych gości, dostarczyły powiaty Basia i Nowa-Gheur; kilku z nich również przybyło z Barwaju.

Wszystkie te miejscowości leżą w odległości od 32—40 mil od Ranczy. Atoli odległość stanowi dla krajowców kwestyę podrzędnej wagi, kosztą podróży wynoszą zaledwie 4 pises (około 9 centymów) dziennie, cały zaś pakunek składa się z miedzianego naczynia, służącego zarazem do jedzenia i picia, garnka do gotowa-

nia (choć ten ostatni do zbytkownych należy przedmiotów) i flaszki tytkowej.

Wszystkie te naczynia zawieszają się na sznurku, przytwierdzonym do laski podróżnej, kilka zaś sztuk drobnej miedzianej monety, ukrytych w pasie skórzanym, uzupełnia niezbędne akcesorya podróży. Mówię tu naturalnie o najuboższych wędrowcach, którzy w naszej misyi stanowią większość.

Bogatsi przynoszą ze sobą pewien gatunek groszku, zwanego *dal*, sól i inne drobne zapasy do przyrządzania posiłku, garderoba ich i naczynia kuchenne okazały również się przedstawiając, wszyscy jednak dźwigają sami swoje pakunki.

W obecnej chwili mamy w *derze* dwóch ludzi, obsługujących ją stale. Jeden z nich imieniem Paweł, nosi tytuł *deradara* i troszczy się o materyalne potrzeby przybyszów, katechista zaś Eleazar uczy ich modlitw i rozmaitych udziela napomnień. Wykład religii dla tych biednych ludzi odznacza się naiwnością i prostotą.

Nie wyobrażajcie sobie wcale, aby nawpół dzicy krajowcy, przybywający do nas z głębi prowincyi, zdradzali jakiekolwiek pragnienie wiedzy, pomimo swej głębokiej ciemnoty. Nie łatwa to rzecz zaiste zebrać ich wieczorem na modlitwę i katechizm.

Każdego wieczora punktualnie podążam do *dery*. Na ziemi pod otwartem niebem, naprzeciw długiego budynku, służącego naszym ludziom za schronienie przed deszczem, leży długi szereg mat, na nich zaś zasiadają na sposób wschodni wszyscy goście z *dery*, opierając podbródek na kolanach. Najprzód całe audytoryum śpiewa monotonnym głosem jakiś hymn pobożny. Natychmiast po mojem przybyciu, fotel przechowywany w lamusie, zostaje wydobyty ze swojej kryjówki, ja zaś usiadłszy na nim, rozpoczynam lekcję.

Nieraz sobie myślałem, co by powiedział pierwszy lepszy wieśniak europejski, gdyby się znalazł przypadkiem na moim wykładzie. Jestem pewny, że musiałby, ukrywając się gdzieś w kącie, śmiać się do rozpuku i myślałby może, iż umyślnie przed nim odgrywamy komedię. Ale nie, owszem, jak ja, tak też i moi słuchacze zupełnie zachowują powagę. Można do nich przemawiać tylko w sposób zupełnie prosty, jak do małych dzieci. Niech to jednak nikogo nie dziwi, gdyż nie należy zapominać, że biedni ci ludzie wychowywali się, a raczej wzrastali — gdyż o istotnem wychowaniu nie może nawet być mowy — otóż wzrastali mówię, w zupełnej ciemnocie, wśród zabobonów i występków właściwych poganizmowi. Żaden z nich nie umie ani pisać, ani czytać, większa zaś ich część nie przekroczyła nigdy obrębu Chota Nagporu.

Oto w jaki sposób odbywają się zwykle nasze lekcye. Wytłumaczywszy im za pomocą niezliczonych pytań, że Bóg jest jeden we trzech Osobach, i że Bóg jest wszędzie, zapytuję nagle jednego ze słuchaczy:

— Czy widziałeś Boga?

— Nie — odpowiada zagadnięty.

— Ale ty Go widziałeś, nieprawdaż — odzywam się do drugiego, który zdradzał widoczną chęć do drzemki.

— Co takiego? — pyta przerażony mojem zapytaniem, kręcąc ze zdziwieniem głowę.

— Wszak widziałeś Pana Boga, nieprawdaż? — powtarzam.

— Nie — brzmi znowu odpowiedź.

— Jakto? czyż nikt z was nie widział Pana Boga?.. Ani ty... ani ty... ani ty — dodaję, wskazując palcem wszystkich tych, którzy się wydawali roztargnieni, albo po prostu spali.

— Nie, nikt z nas nie widział Pana Boga! — wołają wszyscy chórem.

— Zkądże więc wiecie, że jest Pan Bóg? — ciągnę dalej.

Pomiędzy słuchaczami głucho zapanowuje milczenie, kilku z nich jednak zdaje się namyślać nad odpowiedzią, a wreszcie jeden woła:

— Bo Ojciec *Saheb* (misyjonarz) nam to powiedział!

— Dobrze, wcale nie zła odpowiedź — mówię, starając się

zarazem wyłuszczyć im w sposób jak najzrozumialszy posłannictwo katolickiego kapłana, a wreszcie zapytuję:

— Czy zobaczycie kiedykolwiek Pana Boga?

— Nie — odpowiadają wszyscy jednogłośnie.

— Ale, ale, co też mówicie!

— Owszem, zobaczymy Pana Boga — odzywa się nieśmiało jakiś starzec.

— Bardzo dobrze, mój stary!... Lecz jeżeli nie będziecie dobrymi chrześcijanami, czy i wówczas zobaczycie Pana Boga?

— Nie!

— A czy poganie będą oglądali Pana Boga?

— Nie!

— A zatem ani poganie, ani zli chrześcijanie nie ujrzą Pana Boga?

— Nie — odpowiada jednogłośnie całe audytoryum.

— Czy pragniecie widzieć Pana Boga?

— O tak! — woła kilku krajowców.

— A cóż potrzeba robić, jeżeli pragniemy widzieć Pana Boga? — zapytuję i staram się wytłumaczyć jak najpopularniej obowiązkowi dobrego katolika.

— Kiedy zobaczymy Pana Boga? — dodają, ale nie otrzymuję odpowiedzi. Wreszcie jakiś starzec woła:

— Będziemy oglądali Pana Boga po śmierci.

— Bardzo dobrze, mój przyjacielu, widzę, że jesteś nader rozumny i inteligentny staruszek; gdzieżeś się tego wszystkiego nauczył?

Starzec uśmiecha się jak dziecię, które powiedziało coś bardzo mądrego, wszyscy zaś obecni spoglądają na niego z prawdziwym uwielbieniem. Pochwała moja ten wywiera skutek, że starszek z większą niż dotąd słucha mnie uwagą i odpowiada na moje pytania, inni zaś starają się również odznaczyć się pilnością.

— A teraz uważaj, pocziwy staruszeku i wy wszyscy uważajcie. Mówicie, że ludzie cnotliwi po śmierci ujrzą Pana Boga, nieprawdaż?

Nawiasem mówiąc, ten ustęp katechizmu najwięcej dla moich uczniów przedstawia trudności.

— Tak, tak, wołają zewsząd i nikt nie zdradza już chęci do spania, ja zaś ciągnę dalej.

— Skoro człowiek umrze, kładą jego zwłoki do grobu, gdzie jak oczy, tak też całe ciało zasypują piaskiem lub kamieniami... Jakże więc wówczas może on widzieć Boga, kiedy nic wcale już nie widzi?

— Dusza jego ujrzy Pana Boga — odpowiada tenże sam staruszek.

— Coraz to lepiej! Doprawdy, mój przyjacielu, zadziwiasz mnie swoją bystrością i sprytem... Tak, masz słuszność!... dusza jego ujrzy Pana Boga!

— Dusza jego ujrzy Pana Boga! — powtarzają chórem wszyscy obecni, ja zaś ciągnę dalej:

— A czyż dusza jego nie umrze?

— Nie — odpowiada ktoś z tłumu — bo jest nieśmiertelna.

— Czy wszyscy mają duszę?

— Tak, wszyscy mają duszę — brzmi jednogłośnie odpowiedź.

— Alboż ty masz duszę? — zapytuję, zwracając się do jednego z uczniów — nie, ty nie masz duszy, nieprawdaż?

Biedny człowiek waha się, nie wiedząc, co ma odpowiedzieć, inni zaś się śmieją. Wreszcie zapytany odzywa się nieśmiało:

— Owszem, Ojcie, mam duszę.

— A wieleż masz dusz?

— Trzy — odpowiada — Ojciec, Syn i Duch święty!...

Mimowoli nie mogę powstrzymać się od śmiechu, inni śmieją się także, chociaż jestem pewny, że nie wiedzą dlaczego.

— A więc tak, jak Pan Bóg, masz trzy osoby w sobie, Ojca, Syna i Ducha świętego!...

— Nie, nie, każdy człowiek ma jedną tylko duszę.

Wówczas staram się wytłumaczyć w sposób jak najbardziej zastosowany do ich pojęć, że mając tylko jedną duszę, powinniśmy się starać o wieczne jej zbawienie, bo jeżeli dusza zostanie zgubioną, wtedy wszystko stracimy. W taki sposób odbywa się cała lekcja i prawie zawsze po upływie pewnego czasu, wszyscy krajowcy słuchają mnie z uwagą, gdyż boją się zostać zapytani niespodzianie i nie znaleźć stosownej odpowiedzi.

Główną sprawą, sprowadzającą mieszkańców sąsiednich powiatów Chota Nagpore do naszej *dery* w Ranczy są rozmaite procesa, dotyczące spłaty podatków, nie rzadko jednak się zdarzają i inne nieporozumienia. Sprawy te bywają jakimiś niezmiernie skomplikowane i ciągną się w przeciągu całych miesięcy, zmuszając nieszczęśliwych do częstych wycieczek do Ranczy. Oto na przykład proces w ostatnich wytoczony czasach.

Pewien chrześcijanin z Barwadi, imieniem Jonasz Kanhoo, przybył zdaleka w celu uzyskania od trybunału sprawiedliwości dekretu upoważniającego do upomnienia się o żonę. Przed trzema laty niegodziwa ta kobieta w kilka dni po zawarciu małżeństwa z Jonaszem, uciekła z domu męża z innym jakimś człowiekiem do plantacji herbaty w Assamie, gdzie potrzeba ciągle robotników płci obojej i dotąd krajowcy są werbowani w najrozmaitszy, nie zawsze uczciwy sposób. — W ostatnich czasach żona Jonasa wróciła z człowiekiem, który ją uwiódł i biedny mąż chciałby ją sprowadzić do rodzinnego ogniska, gdyż będąc katolikiem i zaślubiwszy tę kobietę jako katoliczkę w obecności katolickiego kapłana, nie może się jej pozbyć tak łatwo jak poganie, którzy w podobnych wypadkach bez najmniejszego wyrzutu sumienia żenią się z inną kobietą.

Inny znowu nieszczęśliwy chrześcijanin z Nowaghuru został pobity przez *chankidara* czyli rządcę swojej wioski i zaniósł na niego skargę, ale świadkowie, ludzie ciemni i nieoświeceni, stanąwszy przed sędzią, stracili przytomność i nie wiedzieli, co mają odpowiedzieć. Biedny więc człowiek przegrał proces i został skazany za oszczerstwo na karę pieniężną w ilości 30 rupij (około 30 złr. w. a.), w razie zaś niemożności uiszczenia tej kwoty, na jeden miesiąc więzienia.

W danej chwili przebywa w *derze* kilku ludzi ze wsi Asro w powiecie barwajskim. Zostali oni oskarżeni o gwałtowne maltretowanie dwóch służących radżaha. Niedawno temu radżah barwajski, poniosłszy znaczne wydatki na przyjęcie w swym domu innego jakiegoś radżaha, wysłał siedmiu stróżów w celu ściągnięcia nadzwyczajnych opłat od mieszkańców wioski. Każdy dom musiał złożyć na ten cel przynajmniej jedną rupię, to jest dwa franki, oprócz utrzymania posłańców radżaha, których wszyscy mieszkańcy musieli żywić w przeciągu całego pobytu ich w swej wiosce. Działalność swą rozpoczęli poborcy od niewielkiej wioski Asro. Mieszkańcy jej oświadczyli stanowczo, że niezapłacą ani jednej rupii, dopóki im nie pokaże dokumentu, wskazującego, jakim prawem domaga się radżah tej nadzwyczajnej kontrybucji.

Dzielni ludzie nie dali się przestraszyć obelgami i groźbami stróżów policyjnych, chociaż dwaj z nich byli uzbrojeni w szable. Wreszcie żołnierze schwycili pewnego wieśniaka z Asro, aby go zaprowadzić do radżaha, jako zakładnika. Widząc to jego sąsiedzi, natarli na żołnierzy z kamieniami i laskami w rękę, oswobodzili wieźnia i rozproszyli całą bandę agentów policyjnych.

Gdyby na tem poprzestali, wszystko dobrzeby się skończyło, ale niestety, oburzeni mieszkańcy puścili się w pogoń za policjantami, uciekającymi co im sił starczyło i złapawszy dwóch, porządną wymierzili im chłostę. Obaj nieszczęśliwi, okryci ranami, zostali przeniesieni do najbliższej stacy policyjnej, czterech zaś wieśniaków z Asro natychmiast aresztowano. Dotąd jednak trybunał sprawiedliwości nie wydał jeszcze na nich wyroku.

(N. B.) Już po skreśleniu niniejszego sprawozdania, trybunał skazał mieszkańców Asro na 30 rupij (około 60 franków) kary, lub w razie niemożności uiszczenia tej kwoty, na jeden miesiąc więzienia. Oskarżeni zanieśli ze swej strony skargę do sądu apelacyjnego i dnia 10 czerwca dwaj z nich zostali uwolnieni od wszelkiej odpowiedzialności, dwaj zaś inni skazani na 18 dni więzienia i 5 rupij czyli 10 franków kary.

Na zakończenie powiedzmy jeszcze słów kilka o naszych chorych. Jeżeli kto z przybyłych do *dery* zapadnie w jakąś znaną i niezbyt groźną chorobę, jak na przykład febrę, wówczas sami odpowiednich udzielamy mu lekarstw. W przeciwnym zaś razie, to jest, jeżeli choroba okaże się niebezpieczną, radzimy udać się do szpitala odległego od *dery* o kilkanaście kroków. Wogóle jednak krajowcy przybyli z prowincji, mają nieprzezwyciężony wstręt do szpitala i za żadną cenę nie dadzą się skłonić do szukania tam opieki. Zresztą pod względem chorób, Hindusi odznaczają się niezwykłą niedbałością i obojętnością.

Pewnego razu jakiś człowiek zachorował, wszystkie zaś symptomata jego choroby wskazywały jasno, że dostał ospy. Pomimo tego jednak, a nawet pomimo naszych rad i przestróg, postanowił wrócić ze swymi towarzyszami do rodzinnej wioski, odległej od Ranczy o kilka dni drogi. Nie wiem, jak zdołał odbyć tak długą i uciążliwą podróż.

Podczas choroby, krajowcy nie starają się wcale o zmianę pokarmu, a nawet gdyby się o to troszczyli, to z powodu powszechnego ubóstwa zmiana taka dla wielu z nich niemożliwą by była.

Zarówno chorzy jak zdrowi, żywią się wyłącznie ryżem, który dla osłabionych żołądków niezbyt odpowiednie stanowi pożywienie. Niejednokrotnie krajowcy proszą nas o lekarstwo, opowiadając wszystkie szczegóły swej choroby.

— Boli mnie tutaj — mówią, wskazując części własnego ciała; gdy zaś lekarstwo zostanie przyrządzone i każemy im je zażyć, wówczas odpowiadają:

— To nie ja jestem chory, ale mój brat, mój syn i t. p., słowem osoby mieszkające niekiedy o dwa, trzy lub cztery dni drogi od Ranczy.

Dotąd jeszcze nikt z przybyszów przyjętych do *dery*, nie zachorował niebezpiecznie. Oby Stwórca raczył błogosławić dobroczynny ten zakład, a zarazem zlał najcenniejsze łaski na wspaniałomyślnych naszych dobroczyńców, którzy zapomocą swych jałmużn wspierają nas w tym zakresie działania.

O. S. Carbery

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE Z MISSYJ.

Europa. — Przywileje Biskupów Misjonarzy w Turcji. —

W ostatnich czasach sultan turecki przesłał X. biskupowi Łazarzowi Mladenawowi, tytularnemu biskupowi Satali i wikaryuszowi apostołskiemu Macedonii *irade*, nadające katolickiemu duchowieństwu następujące przywileje:

1) Biskup należy do rady prowincjonalnej, w której się rozstrzygają rozmaite kwestye duchowne i świeckie; 2) Nadto ma prawo wysyłać swych przedstawicieli do wszystkich rad powiatowych; 3) Może żądać eskorty, któraby mu towarzyszyła w podróżach i broń ją go w razie potrzeby; 4) Ma prawo nadawać kapłanom kształcącym młodzież, tytuły przez rząd uznane; 5) Może wymierzać sprawiedliwość katolickiej ludności, wszystkie zaś wyroki wydawane przezeń w kwestyach spadkowych i matrymonialnych są prawomocne. W rozmaitych zaś sprawach innego rodzaju może odgrywać rolę pośrednika; 6) Żaden kapłan katolicki nie może zostać potępiony przez trybunały cywilne bez pozwolenia biskupa, w razie zaś uzna-

nia go za winnego, musi odbyć karę w rezydencji biskupiej; 7) Wreszcie biskup ma prawo stawiać w obronie swych wiernych we wszystkich sprawach cywilnych, a nawet kryminalnych.

Azja. — Biskup mandarynem. — Czytamy w *Univers*:

»X. Anzer, biskup Telepty i wikaryusz apostołski południowego Szang-Tongu otrzymał obecnie tytuł mandaryna trzeciej klasy. X. biskup Anzer, urodzony w diecezji ratyzbońskiej, należy do Stowarzyszenia misyj zagranicznych ze Steyt w Holandyi.

»Jak wiadomo, dygnitarze chińscy dzielą się na dziewięć klas. Pierwsza składa się z członków ministerium domu cesarskiego, Rady wyższej i niższej, oraz naczelników sześciu ministeriów zwyczajnych. Do drugiej klasy należą wicekrólowie i gubernatorowie ośmnastu prowincji chińskich i wszystkich krain lennych, jak również rezydent tybetański. Trzecią wreszcie klasę stanowią prezydenci trybunałów kryminalnych i apelacyjnych, oraz generałowie armii chińskiej. My Europejczycy z trudnością zdołamy pojąć, jak wielkim szacunkiem tchnie cała ludność chińska względem dygnitarzy z tych pierwszych trzech klas.

Afryka. — Koptowie egipscy. —

X. Ludwik Salamé, kapłan koptyjsko-katolicki, pisze z Kairu dnia 28 września 1893 r. do Prezesa Rady nadzorczej Stowarzyszenia rozkrzewiania wiary w Lyonie:

»Wiecie zapewne, że na prośbę najwybitniejszych przedstawicieli swego narodu, Patriarcha koptyjsko-niekatolicki, został wygnany z rozkazu chedywa i chociaż powrócił już z wygnania, powrót jego wszakże zamiast uśmierzyć niesnaski, rozjątrzył bardziej jeszcze poważnione strony. Fakt ten otworzył oczy wielu osobom które się teraz dopiero przekonały o braku inteligencji i uczciwości, u niekatolickiego duchowieństwa. Natomiast zyskał na tem katolicyzm, kilku bowiem odszczepionych naszych braci zachwiało się w swych przekonaniach i zaczyna się przechylać na stronę prawdy. Mieszkańcy wioski Busz, słynnej z dwóch klasztorów św. Pawła i św. Antoniego, oświadczają chęć powrotu na łono Kościoła, kilku z nich nawet wyrzekło się herezji, inni zaś obiecują to uczynić pod warunkiem, że w ich wiosce stanie kościół katolicki. »Nie możemy, mówią biedni ci ludzie, żyć dalej przez całe lata bez Mszy świętej i św. Sakramentów«.

»Jeżeli Pan Bóg zechce nam dopomódz, to kwestya ta niebawem zostanie rozstrzygniętą, a cała wieś Busz uchronioną od odszczepieństwa.

Melilla (Marokko). — Z powodu wojny toczzonej obecnie przez Hiszpanów z maurytańskimi plemionami, *Las Misiones Católicas* donoszą:

»Dowiadujemy się z kompetentnego źródła, że jeden z Franciszkanów hiszpańskich w Marokko O. Józef Lerchundi został wezwany do Madrytu przez rząd hiszpański, który pragnie zasięgnąć od niego bliższych szczegółów o Melilli, a zarazem prosić go o wskazówki co do taktyki względem Maurów, jakiej nadal trzymać się należy. Z drugiej zaś strony kilku Franciszkanów, pracujących na misyjach w Marokko i Tangerze, postanowiło udać się do Melilli, by mógł spieszniej z religijną pomocą żołnierzom hiszpańskim, stanowiącym miejscową załogę.

»Melilla czyli Mililla zawdzięcza swą nazwę wybornemu miodowi, dostarczanemu w znacznej ilości przez okolice tej miejsciny. Leży ona o 50 mil od Marokko i 30 mil od Ceuty, na półwyspie połączonym z lądem stałym za pomocą skalistego przylądka, który ma 363 stopy długości, 285 szerokości i 105 stóp wysokości nad poziomem morza.

»Oddawna już katolicy królowie Hiszpanii zdawali sobie dobrze sprawę z doniosłości strategicznego położenia Melilli, w roku zaś 1496 z portu San Lucar de Barrameda wypłynął okręt wojenny

pod dowództwem kapitana Piotra Estopiniano. Załoga tego okrętu zdobyła Melillę bez najmniejszego oporu i starannie ją obwarowała, wkrótce zaś potem książę Medinasidonia w nagrodę zasług położonych dla korony, otrzymał w darze nową tę posiadłość, wraz z tytułem komendanka miejscowej twierdzy.

»Za czasów Ferdynanda VI, okolice Melilli dostały się w posiadanie Hiszpanii, Maurowie zaś, którzy tam mieszkali, uznali nad sobą władzę hiszpańskich gubernatorów, a nawet przyjazne zawiązały z nimi stosunki. Cały ten zakątek kraju wyglądał wówczas jak przepyszny ogród, uprawiany przez spokojnych mieszkańców. Stopniowo jednak kwitnący ten stan, pochylił się ku upadkowi i Melilla stała się wyłącznie niezdobytą warownią, ważnym strategicznym posterunkiem, z którego Hiszpanie mogli odierać szczęśliwie wszelkie napaści wrogów.

»W pobliżu fortyfikacji melilskich płynie niewielka rzeka Oro, dalej zaś mieści się port, wprawdzie niezbyt obszerny, ale bezpieczny. Uliczki Melilli są wąskie i nierówne, ale należy im przyznać tę załugę, że się niezwykle odznaczają czystością. Domy, których ilość zaledwie do stu dochodzi, nie mogą bynajmniej się poszczycić pięknnością architektury, na wielu zaś z nich widać jeszcze ślady trzęsienia ziemi, które w lutym 1848 r. dotknęło Melillę.

»Mieścina ta atoli posiada dość obszerny kościół parafialny pod wezwaniem Niepokalanego Poczęcia Najśw. Panny, plebanie zamieszkiwaną przez paru kapelanów wojskowych, rezydencję komendanta i naczelnika inżynierii, ładny park, szkołę wojskową, więź obserwacyjną, parę sklepów, a wreszcie szpital, mogący pomieścić 60 chorych.

»Pod murami twierdzy ciągną się rozległe korytarze podziemne, w których się przechowuje amunicja i zapasy żywności, dostateczne do wyżywienia w przeciągu całego roku 10.000 ludzi. Z fortami i bastyonami łączą również tę warownią długie przejścia podziemne«.

Missya w Suakimie. — O. Giacomelli, misjonarz w Suakimie, pisze z tego miasta do Przewielebnego O. Józefa Sembianti, przełożonego kolegium misyj nigryckich w Weronie:

»Przed kilkoma tygodniami ukończyliśmy budowę nowego kościoła w Suakimie pod wezwaniem św. Krzyża i po uroczystem poświęceniu tej świątyni, zaczęliśmy odprawiać w niej nabożeństwo. Ma ona 8 metrów wysokości i jest tak obszerną, że może pomieścić około 300 osób, oświeca zaś ją 14 dużych okien, ułatwiających niezmiernie odświeżanie powietrza, co w tak ciepłym klimacie niezbędną jest rzeczą.

»Ceremonia poświęcenia nowego kościoła odbyła się w sposób prawdziwie imponujący, wśród liczego zaś tłumu chrześcijan, zajmowali pierwszorzędne miejsca konsulowie grecki i angielski, a nawet miejscowy basza ze swym adjutantem. Wieczorem skromna iluminacja świątyni zakończyła tę piękną i radosną uroczystość.

»Zaznaczyć też wypada powolny, lecz ciągły wzrost ilości naszych wiernych. W roku bieżącym gmina katolicka liczy już około 70 neofitów, wydartych po większej części odszczepieństwa lub herezyi. Pomiędzy nowonawróconymi zasługuje najbardziej na uwagę pewien młody Abissyńczyk imieniem Jerzy Berre i jego żona Marya Assada. Jednego i tego samego dnia udzieliliśmy im czterech Sakramentów, Chrztu, Eucharystyi, Bierzmowania i Matżeństwa, poczem na usilne prośby nowożeńców, udaliśmy się do skromnego ich mieszkania, urządzonego na sposób arabski, aby pobłogosławić uctę weselną. W ostatnich wreszcie czasach dokonaliśmy sześciu nowych nawróceń, które nam wielką sprawiły pociechę«.

Missya w Sejszelach. — O. Chérubin, Kapucyn, pisze do nas dnia 12 września 1893 r. z Port-Wiktorya na wyspach Sejszelskich:

»Od 40 lat zaledwie, Sejszele posiadają misjonarzy; przedtem zaś wstęp na te wyspy, chociaż dozwolony pastorom prote-

stanckim, katolickim jednak kapłanom surowo był wzbroniony. Herezya więc swobodnie mogła się rozkrzewiać, ale pomimo tego misjonarze nasi dzięki prawdziwości swojej religii i własnemu poświęceniu, zdolali licznych dokonać nawróceń.

»Na trzech największych wyspach, Mahe, Praslin i La Digue, stopniowo wzniosły się kaplice, a raczej nędzne szałas, pokryte dachem z liści kokosowych. Każdy niemal europejski misjonarz wchodząc po raz pierwszy do jednej z tych świątyń, uboższej nawet od betleemskiej stajenki, nie może oprzeć się uczuciu głębokiego smutku.

»Niestety, nędzne te kaplice, zbudowane przed 30 laty, gwałtownie domagają się naprawy, ponieważ drzewo stając się powoli siedliskiem drobniutkich tutejszych mrówek, nader szybko pruchnieje. Przed kilkoma miesiącami w jednej ze świątyń podczas niebezpiecznego, oderwała się ogromna belka, ale na szczęście zatrzymała się na sznurze zawieszonym w poprzek kaplicy ponad głowami przerażonych pobożnych.

»Ubóstwo naszych świątyń zniechęca nawet wielu krajowców do udziału w nabożeństwie, z pomiędzy zaś trzynastu kaplic, jedenaście chyli się ku upadkowi.

»Nic też dziwnego, że do dwóch świątyń w nieco lepszym będącym stanie, to jest do katedry w Port Wiktorya i kościoła Najświętszego Serca, napływają pobożni z innych parafii, nie wahając się przedsięwziąć kilkogodzinną podróż, aby się módz pomodlić w porządnej świątyni. W dni świąteczne do obu tych kościołów uczęszcza nawet wielu protestantów, co nader pociesającym jest dla nas objawem.

»Niestety, religia katolicka na wyspach Sejszelskich dlatego głównie nie może się rozkrzewiać, że braknie nam środków do utrzymania szkół. W dwóch parafiach musieliśmy je zamknąć, z czego nie omieszkał skorzystać protestanci, dokładając wszelkich usiłowań w celu zwerbowania do swych szkół bezpłatnych jak największej ilości dziatwy katolickiej.

»W Port Wiktorya, kolegium Braci Marystów musi toczyć walkę z kolegium świeckim, bezwyznaniowem, którego profesoriowie są protestantami.

»Wprawdzie w obecnej chwili nad protestanckimi ochronkami odniosła stanowcze zwycięstwo ochronka dla dziewcząt, utrzymywana przez Siostry św. Józefa z Cluny, ale utrzymanie tych kilkuset dzieci, nader wiele kosztuje naszą misję. Ochronka dla chłopców, która jak najlepsze rokowała nadzieje, musiała w roku ubiegłym zostać zamkniętą, jedynie z powodu braku materyalnych środków«.

Missya Luluaburg w Kongo Belgijskim. X. Garmyn, misjonarz z Scheut-lez-Bruxelles, pisze ze stacyi misyjnej Saint Joseph de Lulouabourg:

»Od kilku dni nie odprawiamy Mszy świętej, ponieważ zabrakło nam Hostyj i łąki do przyrządzania opłatków. Łatwo się domyśleć, jak bardzo nas to martwi. Pomimo jednak tego zmartwienia jestem zachwycony tem wszystkim, co tu widziałem od chwili przybycia.

»Całe terytoryum misyjne, to jest około 50 hektarów gruntu zostało już wykarczowane; 25 hektarów poświęciliśmy na uprawę manioku, po 6 hektarów na uprawę ryżu, kukurudzy i fasoli, na przestrzeni zaś jednego hektara rosną przepyszne banany.

»Wszędzie widać tu dobrobyt, pracę i spokój. Budynki misyjne wzniesione na niewielkiem wzgórzu, wyglądają zdaleka, jak uroczą willę, otoczona dokoła ogrodem. U podnóża góry płyną dwa strumienie, droga zaś na 10 metrów szeroka, wiedzie aż do samej rezydencji misyjnej, okolonej szeregiem okrągłych domków zbudowanych dla robotników.

»W obecnej chwili pracujemy nad budową kaplicy i mieszkania dla Ojców, o kilka zaś kroków ztamtąd wznosi się już rozległy

dom murowany, dalej nieco kuchnia, szopa długa na 52 metry, służąca za warsztat stolarski, szkoła, dystylarnia, cegielnia i piękny ogród warzywny, w którym rośnie kawa, drzewo cytrynowe, mango, daktylowe, jak również *gajawa* i wszystkie europejskie rośliny. Dodajcie do tego piękną drogę, długą na półtrzeciej mili, a wiodącą do wsi Lourdes-Notre Dame, i wyobraźcie sobie białą chorągiew missyjną z niebieskim krzyżem, powiewającą w naszej rezydencji, a będziecie mieli o niej dokładne wyobrażenie».

Ameryka. — Jubileusz JEM. Kardynała Gibbons'a. — Dnia 18 października katolicy w Stanach Zjednoczonych obchodzili 25-letnią rocznicę święceń biskupich JEM. kardynała Gibbons'a, arcybiskupa Baltimore.

O godzinie 10 rano odbyła się Msza święta, na której był obecnym legat papieski X. arcybiskup Satolli, ubrany w pontyfikalne szaty, poczem nastąpiło kazanie, wygłoszone przez X. Corrigan'a, arcybiskupa nowojorskiego. Podczas niesporu wygłosił kazanie X. biskup Ireland.

Nietylko katolicy, ale nawet protestanci, uznają jednogłośnie, że X. arcybiskup Gibbons odznacza się niezwykłą łagodnością i uprzejmością charakteru, która od pierwszej niemal chwili wszystkie zjednywa dlań serca. Wiedzie on zresztą klasztorne niemal życie, gdy zaś po otrzymaniu kapelusza kardynalskiego, dowiedział się, że mieszkańcy Baltimore zamieszkają kupić dla swego arcybiskupa ładny powóz i konie, rzekł do nich łagodnie: «Użyjcie lepiej tych pieniędzy na jakiś cel dobroczynny, ja bowiem, moi drodzy, wolę chodzić pieszo».

Całe życie tego prałata w prześliczne obfituje rysy. Tak na przykład, gdy we wsi Elkridge w pobliżu Baltimore szerzyła się oспа i wszyscy mieszkańcy, jacy zdołali uniknąć tej choroby, ratowali się ucieczką, kardynał przez dni kilka czuwał przy łożu pewnego starego murzyna, dotkniętego epidemią, po zgonie zaś chorego własnymi pogrzał go rękoma.

Patagonia. — X. biskup Cagliero z Kongregacji Salezjanów turyńskich, pisze do Dom Rua, następcy Dom Bosco:

»Szkoly dla chłopców i dziewcząt prawdziwą przynoszą nam pociechę. Istnieją już one we wszystkich główniejszych punktach wikaryatu i liczą około 1500 uczniów.

»W miarę wzrostu ilości katolickich rodzin, oraz rozwoju wiosek i kolonij, wzrasta też ilość szkół, kościołów i kaplic. Niestety, wszystkie nasze świątynie, zbudowane z drzewa lub cegieł wysuszonych na słońcu, są jeszcze bardzo skromne i ubogie, w wielu nawet pomniejszych wioskach prosta wieśniacza chata służy za kaplicę. Bądź co bądź, pomimo swego ubóstwa, świątynie te pozwalają nam odprawiać nabożeństwo i składać przez nie cześć należną Stwórcy.

»W ostatnich czasach założyliśmy szkołę przemysłową w stacyi missyjnej Wiedma nad rzeką Rio Negro, w której około 50 dzieci, po większej części sierót, uczą się stolarstwa, szewstwa, krawiectwa, ślusarstwa, kowalstwa i blacharstwa. Salezianie, którzy uczą ich rzemiosł, spełniają również obowiązki katechistów».

Ekwador. — Wycieczka apostolska i postępy missyi. O. Ludwik Tona w liście pisanym w maju roku zeszłego do Redaktora czasopisma pod tytułem *Revista Franciscana* donosi co następuje:

»Natychmiast po powrocie do Loire, stolicy rzeczypospolitej, musiałem udać się w głąb missyi, poczem podążyłem do Santa Ana de Zamora, dokąd przybyłem dnia 18 lutego.

»Dowiedziawszy się o mojem przybyciu, dziatwa szkolna wraz z O. Gonzalesem wyszła na nasze spotkanie, za przykładem zaś jej poszli i miejscowi krajowcy z liczego plemienia Jiwarosów. Pomiedzy tymi ostatnimi spostrzegłem też wielu nieznanym In-dyan, którzy prosili mię, o jałmużnę. Dzięki częstym wycieczkom

tego rodzaju, zdołałem nauczyć się kilkudziesięciu wyrazów z niezmiernie trudnego języka *jiwaros*.

»Z początku krajowcy bali się niezmiernie missyjonarzy i starranie ich unikali, teraz jednak łagodne postępowanie z naszej strony, przekonało biednych tych ludzi, że jedynie ich dobro mamy na celu. Bądź co bądź nawrócenie tutejszych Indyan nie będzie wcale rzeczą łatwą, chociaż nie szczędzimy w tym celu trudów i usiłowań. Miejsmy jednak nadzieję, że łaska Boża zechce poruszyć te serca, podobnie jak niegdyś raczyła przemówić do serca św. Pawła.

»Żałowałem niezmiernie, że nie zdołałem dotrzeć do Jiwarosów, osiadłych w Logroño (Logroño), ale puszczać się w porze deszczowej w tak daleką podróż, byłoby rzeczą nader niebezpieczną, gdyż pirogi stanowiące tutaj jedyny środek komunikacyjny, nie mogą się utrzymać na wzburzonych falach wezbranych rzek i strumieni. Sami nawet Jiwaros, pomimo wrodzonej sobie odwagi i przyzwyczajenia do żeglugi na rzekach, nie śmieją wówczas odpłynąć od brzegu. W niektórych miejscowościach gwałtowny prąd tak dalece staje się niebezpiecznym, że w roku ubiegły O. Vidal wraz z kilkoma towarzyszami omal nie padł ofiarą okropnego wypadku. Oto łódź ich się przewróciła, wszyscy zaś podróżni zostali porwani prądem spienionej rzeki, i tylko cudownemu zrządzeniu Opatrzności zawdzięczali swe ocalenie. Naturalnie wszystkie wiezione przez nich zapasy żywności i inne przedmioty, stały się pastwą rozhukanego żywiołu.

»Wkrótce po przybyciu do Zamory, musiałem udać się do Cumbarazy, aby obejrzeć budynek wzniesiony tam dla nas przez Jiwarosów, oraz roztoczyć nadzór nad zbiorem juki i rozmaitych jarzyn, któreśmy w tej nowej osadzie missyjnej zaczęli już uprawiać. Wszystkie chwile wolne od zajęć gospodarczych, poświęcałem na katechizację krajowców, poczem wraz z nimi odmawiałem Różaniec. Ponieważ jednak nie zdołaliśmy jeszcze dotąd przetłumaczyć pięknego tego nabożeństwa na język jiwarowski, Indianie zaś nie umieją po hiszpańsku, modlitwie więc mojej wtórują zwykle niezrozumiałem mrużeniem, przerywanem tylko od czasu do czasu jednogłośnym okrzykiem »Amen!«

»Nazajutrz po przybyciu do Cumbarazy odprawiłem Mszę świętą, która była niewątpliwie pierwszą jeszcze w tej przeważnie pogańskiej dotąd okolicy.

»Po Mszy świętej przyprowadzono do mnie troje dzieci, prosząc, abym je ochrzcił, nie mogłem jednak tego uczynić z powodu ich zupełnej nieświadomości pod względem zasad chrześcijańskiej wiary. Zaproponowałem więc rodzicom, aby mi je oddali na naukę, ale biedni, ciemni Jiwaros nawet słyszeć o tem nie chcieli.

»Po zebraniu jarzyn i juki wróciłem do Santa Ana de Zamora, z kąd też niebawem wysłałem do Cumbarazy O. Gonsaleza z kilkoma uczniami.

»Podczas wielkiego postu odprawialiśmy drogę krzyżową i ochodziliśmy solennie uroczystość św. Józefa, oraz Siedmiu Bolesci Najświętszej Panny, ku wielkiemu zadowoleniu kolonistów chrześcijan, mieszkających w tej osadzie. W Wielki Czwartek wszyscy ci osadnicy w ilości przeszło 50 osób, przystąpili do Stołu Pańskiego. Jestto wynik nader pocieszający, należy bowiem pamiętać, że się znajdujemy w niewiernej dotąd krainie, i że missyi naszej braknie nietylko dostatecznej ilości pracowników, ale też wielu najniezbędniejszych rzeczy.

»Pomimo tego nie zniechęcamy się wcale, mając nadzieję, że Bóg raczy udzielić nam sił potrzebnych do wykonywania apostolskiego powołania i zdobycia dla nieba dusz naszych biednych Indyan».

Wyspy Filipińskie. — Religia, przesady i charakterystyczne zwyczaje krajowców z plemienia Montes. O. Józef Marya Clotet z naszego zakonu, przesłał z Falisajanu do O. Rektora w Manili nader zajmujący list, z którego następujący przytaczamy wyjątek:

»Montesi znani w Mindanao pod nazwą Buquidnonów czyli mieszkańców lasu, zamieszkują przeważnie powiat Misamis i dzielą się na trzy wielkie grupy. Pierwsza z nich zaludnia rozległe obszary, leżące w górach i przetrzynięte rzekami Tagoloan, Kagajan i Iponan. Terytorium drugiej grupy leży pomiędzy rzekami Gingoog i Nasipit, trzecia zaś grupa zaludnia brzegi rzeki Pulangui i licznych jej dopływów.

»Chociaż Buquidnonowie posiadają wiele cech charakterystycznych, odróżniających ich całkowicie od innych tubylców, nie braknie im jednak i wiele rysów wspólnych wszystkim filipińskim ludom. Cyfra ich stanowczo nie da się określić, ale według wszelkiego prawdopodobieństwa wynosi obecnie około 3000. Są to ludzie słusznego wzrostu, silnej i muskularnej, ale kształtnej budowy ciała, pod względem zaś inteligencji przebijającej się w rysach twarzy, wielu z nich mogłoby współzawodniczyć z niektórymi daleko bardziej ucivilizowanymi ludami.

»Słyszając ich rozmowę z naszymi wiernymi i widząc jak głęboki szacunek okazują misyonarzowi, możnaby wziąć ich za chrześcijan na pierwszy rzut oka. Tę większą więc szkoda, że umysł ich zaciemnia jeszcze mnóstwo pogańskich zabobonów i przesądów, serce zaś nie zna żadnych niemal szlachetniejszych uczuć, które jedynie wiara prawdziwa umie zaszczerpić i rozwinąć.

»Bądź co bądź nie da się zaprzeczyć, że pod względem skromności i przyzwoitości, Montesi stoją daleko wyżej od innych ludów z Mindanao. Ubiór kobiet stanowią długie tuniki, sięgające po za kolana i pewien rodzaj kaftanów z tkaniny jak najbardziej jaskrawego koloru. Na szyi noszą naszyjniki z muszel lub paciorków, obuwia zaś nie znają wcale. Mężczyźni mają zwykle u boku nóż i siekierę, które brzczą za każdym ruchem. Włosy noszą związane na wierzchu głowy w gruby zwój, który się zwiesza ponad czołem, sięgając niekiedy aż do brwi, zęby zaś malują sobie na czarno.

»Zasługuje na uwagę, że kobiety montelskie przywiązują zresztą ogromną wagę do rozmaitych błyskotek, w dzień przyjęcia Chrztu świętego, jakby pragnąc się wyrzec wszelkiej próżności tego świata, zaprzestają dobrowolnie noszenia klejnotów. Natomiast misyonarz rozdaje im medaliki, szkaplerze i różańce, z których pocziwie neofitki niezmiernie są dumne.

»Wgółe wszyscy krajowcy odznaczają się swobodą i zwinnością ruchów, chodzą zaś tak lekko, że zdają się niemal niedotykać ziemi. Tyle o zewnętrznych ich cechach. Bardziej jeszcze na uwagę zasługują zwyczaje i przekonania religijne bukwidnońskiej ludności, z których możemy się domyślać, iż posiada ona pewne pojęcie o Bogu, niebie, wieczności i stworzeniu pierwszego człowieka. Ale niestety, wyobrażenia te i tradycje są tak zmateryalizowane i przeinaczone, że zdają się być zaledwie słabym odbłaskiem światła pierwotnej prawdy.

»Poganie bukwidnońscy są politeistami, najgorętsze zaś hołdy odbierają od nich bogowie opiekujący się czterema stronami świata, a mianowicie bożek północy — *Domalongdong*, południa — *Ongli*, wschodu — *Tagolambong* i zachodu — *Magbabaja*.

»Wszystkie te bóstwa podług przekonania krajowców rządzą i kierują wielką machiną świata, bożkowi zaś *Magbabaja*, którego nazwa oznacza wszechmocnego, dopomagają dwa podrzędne bóstwa *Ibabasang* i *Ipamahandi*, wzywane szczególnie przez kobiety.

»Bóstwa te opiekują się kómi, bydłem i trzodą, ponieważ zaś każdy Bukwidnon posiada po kilka zwierząt domowych, składają więc często ofiary opiekuńczym bogom.

»Od *Tagumbanua*, bożka roślinności, spodziewają się krajowcy obfitego plonu i corocznie po żniwach obchodzą na cześć jego uroczystość, zwaną *kaliga*.

»Tak zwanych *Tao sa sulubów*, czyli geniuszów leśnych, wzywają Montesi podczas wojen, klęsk publicznych i podróży. Podług ich mniemania są to geniusze mieszkające w wydrążonych pniach drzewnych i stosownie do swego usposobienia sprzyjające lub szkodzące ludziom.

»Pewnego razu przejeżdżając z jednym Montesem w pobliżu olbrzymiego drzewa, zwanego *Balite*, spostrzegłem, że mój towarzysz nagle zniżył głos i zaczął zdradzać pewną obawę. Gdy go zapytałem o przyczynę tej zmiany, Montes z początku długo się wahał z odpowiedzią, a wreszcie uległ mej prośbie i rzekł:

— Współbracia moi twierdzą, że drzewo *Balite* służy za zwykłe siedlisko bożkowi leśnemu *Magtitma*, który zsyła choroby i inne nieszczęścia na każdego, kto przechodząc w pobliżu, nie złoży mu w ofierze białej kury lub koguta. Chociaż więc od chwili zostania chrześcijaninem nie wierzę już w te gusa, znalazłszy się jednak w pośród drzew *Balite*, nie mogę się oprzeć pewnemu uczuciu trwogi.

»W chacie każdego Bukwidnona poganina, znaleźć można kamienny posążek bóstwa zwanego *Tigbas*. Posążek ten cieszy się wielkiem poszanowaniem u krajowców, którzy go przechowują starannie, pokazując tylko osobom złączonym z nimi węzłami pokrewieństwa lub przyjaźni.

»Drugi posążek napotykamy również u każdego krajowca, zowie się *Talian* i wisi zawsze na sznurku w pośrodku chaty. Towarzyszy on również we wszystkich podróżach przedsięwziętych przez Montesów, którzy mu wiele cudownych przypisują własności. Skoro naprzykład ktokolwiek zachoruje, wówczas krajowcy zanurzają bałwanka do naczynia z wodą i każą ją wypić choremu, twierdząc, że jest to najpewniejszy sposób odzyskania zdrowia.

»Niekiedy, mówią, samo dotknięcie rany posążkiem *Taliana*, wystarcza do jej uleczenia. Wreszcie używają go niekiedy w celu odszukania skradzionych lub zgubionych rzeczy.

»Głównem staraniem krajowców jest zdobycie względów złego ducha zwanego *Buzaao*, na cześć którego śpiewają, tańczą lub ofiarowują jadło i napoje. Ofiary zwykle składane bywają przez starców, stanowią je zaś przeważnie płody rolne albo białe kury. Tu i owdzie nawet można napotkać ołtarze w kształcie stołów, po nad którymi mieszczą się posągi rozmaitych bóstw.

»Pomijając wiele innych pogańskich zwyczajów, rzucających niezbyt korzystne światło na stan cywilizacji biednych tych ludzi, powiedzmy słów kilka o związkach małżeńskich, zawieranych pod wyłącznem przewodnictwem starców, lub też tak zwanego *Mažalikampo* czyli naczelnika wioski. On to zwykle na żądanie rodziców przyszłych nowożeńców, pozwala tym ostatnim połączyć się ze sobą na zawsze, poczem wszyscy zaproszeni udają się do domu rodziców panny młodej, którzy ich częstują słodkawym napojem, noszącym nazwę *pangasi*. Następnie o godzinie wyznaczonej na ceremonię ślubu, nowożeńcy zamieniają ze sobą kilka etykietałnych wyrazów, poczem rodzice podają każdemu z nich naczynie z jakimkolwiek jadłem i pan młody spożywa je z półmiska panny młodej, ofiarując jej zarazem własny swój półmisek. Na tem polega cały obrzęd ślubny, zawierający jak się zdaje, pewną aluzję do obowiązku małżonków, dopomagania sobie nawzajem i starania się wspólnie o utrzymanie rodziny. Potem rozpoczyna się ożywiona uczta czyli *bicžara*, na której upajające napoje główną odgrywają rolę. Z wyjątkiem najbogatszych krajowców, czyli tak zwanych *dattos*, którzy uchodzą za arystokrację miejscową i miewają po dwie lub trzy żony, wielożeństwo u Bukwidnonów zupełnie jest nieznane, chociaż u innych pogańskich plemion zamieszkujących wyspy Filipińskie, nader często się napotyka.